odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok VI.
Łódź, 23. VI. 63.
Nr 25 (277)
Cena zł 1.—

Czym są Targi? – Businessem – odpowiedziałby praktyczny Amerykanin i miałby rację. Zresztą i ja staram się to Wam udowodnić, ale nie bez „ale"

9. – 23. 6.1963
XXXII

STANISŁAW KASZYŃSKI

Nad pięknym modrym Dunajem

DZIECI

Tym razem rzecz będzie o milusińskich. Ale chcę pisać o dzieciach szczególnych — bezdomnych, osieroconych. Już nie pamiętam, przy jakiej to okazji zaczęło się mówić o tych dzieciach i wówczas moi znajomi zapytali mnie, czy słyszałem o interesującej instytucji austriackiej w zakresie opieki nad dzieckiem. Jej twórca, Hermann Gmeiner i jego eksperyment zdobyli do tej pory rozgłos w świecie. Przyznałem się do niewiedzy. Idea tzw. Wiejskich Ośrodków Dziecięcych (SOS-Kinderdörfer) zrodziła się w okresie tuż powojennym, zatem w czasie, kiedy bolesny, tragiczny problem bezdomnych dzieci wystąpił z całą ostrością. Historia pedagogiki zna liczne metody wychowawcze, istnieją od dawna rozmaite formy instytucjonalne. Co najmniej od XVII wieku próbuje się zaradzić temu nieszczęściu społecznemu, idąc za wskazaniami reformatorów czy filozofów. Dawne stulecia nie znały w pełni tego zagadnienia. Dopiero kataklizmy dziejowe XX wieku, przede wszystkim ostatnie dwie wojny, zwielokrotniając to zjawisko do skali masowej, zmusiły jednocześnie państwa i społeczeństwa do szukania co skuteczniejszych rozwiązań, opartych o nowoczesne zdobycze psycho-

Dalszy ciąg na str. 2

KRZYSZTOF POGORZELEC

MISTER TWISTER RUSZA w POLSKĘ

Nie wiem kim jesteś Mister Twister. Nawet nie „byłym ministrem", ot, po prostu — jednym z 10 tysięcy zagranicznych kupców i turystów, którzy do Poznania przyjechali na kilka dni, na MTP. To Ty właśnie masz nieposzlakowanej białości koszule „non iron" i samochód model 1963. To zresztą dobrze, że masz ten samochód, choć nasze koleje nie są w Europie najgorsze. On właśnie pomoże Ci pojechać „w Polskę". Ale jeżeli i to nie wchodzi w rachubę, proponuję Tobie — mr Twister bardziej „kameralne" spotkanie z moją Ojczyzną.

Zajrzyj więc najpierw do targowego pawilonu polskiego przemysłu elektronicznego. Ależ tak! Ten „mózg elektronowy" ZAM-2 GAMMA skonstruowali ludzie żyjący nad Wisłą, z Instytutu Maszyn Matematycznych. Jego „pamięć" ponad 16 tysięcy słów, robi 1000 obliczeń w sekundę. A dalej — w dziale aparatury medycznej — obejrzyj sobie dzieło łódzkiego lekarza-naukowca — prof. dr J. Molla i dwóch poznańskich inżynierów — F. Płużka i W. Szymkowiaka. Sławne „sztuczne serce".

Nie, to nie wszystko mr Twister! Zapoznaj się z modelami fabryk, które polska centrala handlu zagranicznego „Cekop" sprzedaje do 70 państw całego świata. Nie, to nie kłochi i mahicty. Jeżeli czasu ci starczy jedź zobacz do Holandii, Grecji, Burmy, Indii, do 40 krajów, gdzie aktualnie Polacy budują kompletne fabryki. Ależ nie! Nie przez altruizm! Tak, zarabiamy: 80 mln dolarów w ubiegłym roku. A ty mr Twister przyjechałeś do Poznania w... celach naukowych? Business is business — tak to się chyba mówi?

To dobrze, że choć tutaj — na MTP spotkałeś się z moją ojczyzną. Może wreszcie uwierzysz, że przestała być — również dla Ciebie „Kartoffelnlandem"...

GOŚCIE Z PIĘCIU KONTYNENTÓW

Poznań, przez okres trwania międzynarodowych targów, staje się handlową stolicą nie tyle Polski co... kilku kontynentów. W tym roku, w XXXII MTP bierze udział 60 państw, przy czym podział jest następujący. Na Europę przypada 26 krajów, Azję — 10, Afrykę — 11, Amerykę — 10, Australię i Oceanię reprezentują 3 państwa. W sumie ekspozycja wystawowa handlowych firm zagranicznych zajmuje 57.500 m², gospodarze czyli Polska — 48.200 m².

Kraje europejskie reprezentowane są przez: Austrię, Belgię, Bułgarię, CSRS,

Dalszy ciąg na str. 5

Pokaz mody. Dodajmy — polskiej. Sukienka zrobiona przez zakłady przemysłu odzieżowego. Wszystko „Made in Poland".

Poznań na okres 2 tygodni trwania MTP stał się pełnomorskim portem. W pawilonie polskiego przemysłu stoczniowego pokazujemy modele statków. Oryginały — do nabycia w Gdyni. Niech płyną po dewizy.

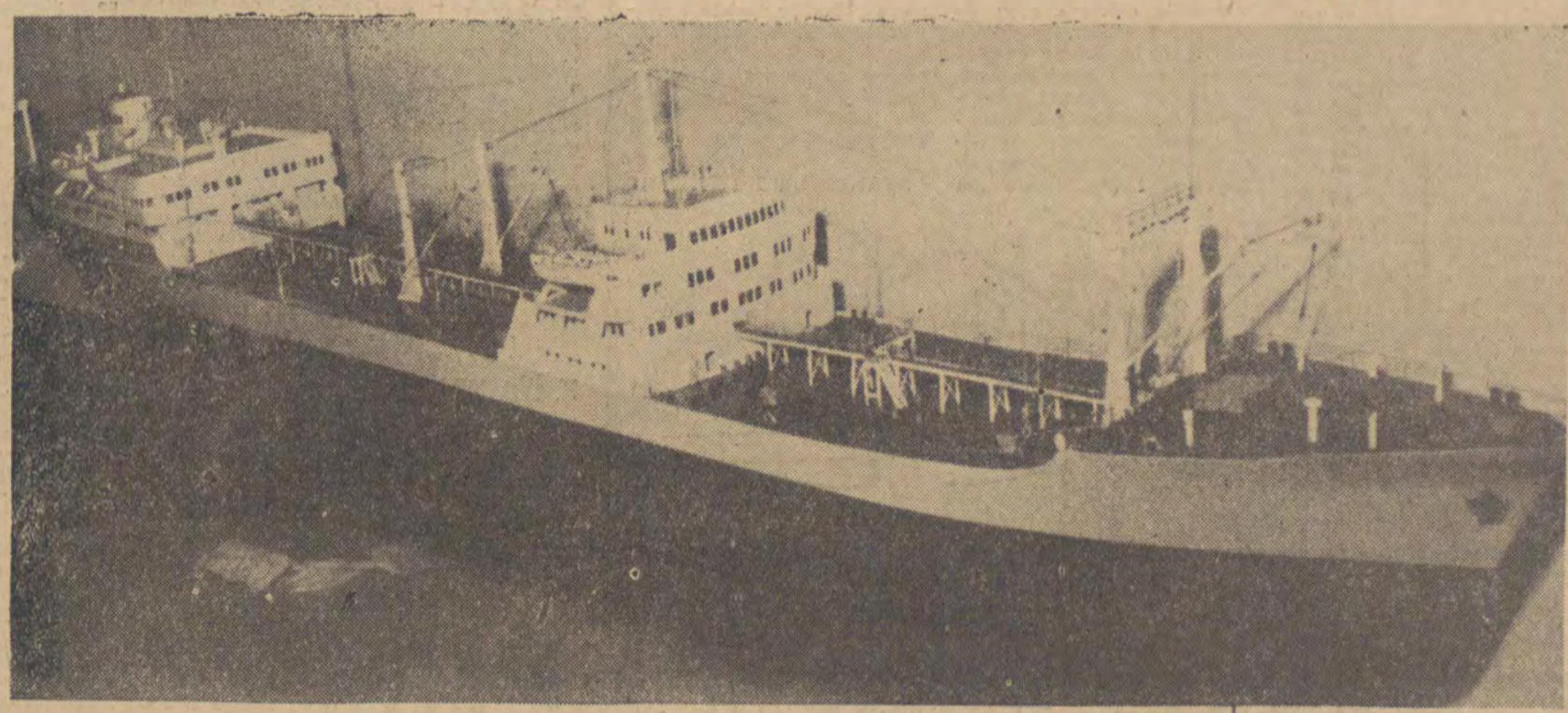

JAN BĄBIŃSKI

BRONIĘ KSIĘŻEGO MŁYNA

Miasto, w którym fabryki jak domy stoją przy ulicach. Słynne ongi z kontrastów i trójjęzycznych napisów na sklepowych szyldach. Czy Łódź posiada zabytki? Ratusz na placu Wolności... Albo kościół w kształcie łacińskiego krzyża i klasztor w Łagiewnikach. Jakiż to prześwietny barok z początku XVIII wieku, pełen dynamiki, przepychu. Każde miasto amerykańskie chętnie by wyłożyło miliony za świątynię o takiej metryce.

Łódź to wieś, która wyrosła kominami, miasto złe, parweniuszowskie, nowobogackie.

Nieprawda, dzieje Łodzi sięgają XI wieku. Krągły stożek w julianowskim parku. Przecież to szczątki dawnego grodziska, które usypano na wzgórzu. Szaniec z palisadami, przedpierścień, szturmowe pale. Wojowie wsparci stopami w ziemię, bronili tu mienia i spokoju swych najbliższych. Parkiem płynie niemy strumyk, był świadkiem niejednej tragedii. Oblewał grodzisko ze wszystkich stron, tworząc głęboką fosę. Gdybyż ten strumyk przemówił...

Zabytkiem o rosnącej wadze jest Piotrkowska na całej jej długości.

Cóż za promenada! Kilometrami defilują kamienice, jedna przylega do drugiej. Stylowe czynszówki, neoklasycyzm w rodzimym wydaniu. Niektóre domy to istne cacka. Nawet Paryż by ich nie odepchnął. Piotrkowska to jakby Krakowskie Przedmieście, proszę jednak łaskawie zważyć, iż to oryginał, żaden tam wtórnik, kopia, makieta do filmu. Piotrkowska stoi jak stała i choć wąska, niewygodna, stanowi perłę. Prawdziwą nie sztuczną. Byle ją dostał dobry jubiler do ręki, oczyścił, doszlifował, oprawił jak trzeba i zaświeci jaśniejszym blaskiem niż jąkające się neony.

Być może najcenniejszym zabytkiem Łodzi jest scheiblerowskie miasto.

To unikat, jakiego próżno szukać w kraju, ba w całej środkowej Europie. Turysto orbisowski, nigdzie nie trafisz na pomnik, który by się mógł równać z Księżym Młynem? Kim był Karol Scheibler? Idę o zakład, że młodzież nie ma już pojęcia, kto zacz ów dobroduszny z wyglądu jegomość, o ciężkich powiekach i car-

Dalszy ciąg na str. 4

DZIECI

Dokończenie ze strony 1

logii, socjologii i pedagogiki.

Koncepcja wychowawcza Gmeinera, realizowana w tych ośrodkach, zasadza się na tyleż wypróbowanym i znanym co śmiałym założeniu, że jedynie społeczność rodzinna, a więc dom w tradycyjnej postaci, zdoła przywrócić sierotom niezbędną równowagę i włączyć je na powrót w ramy normalnego życia. Doświadczenia osobiste — wczesna utrata matki i kontakty w organizacjach młodzieżowych z podobnymi ludźmi — utwierdziły Gmeinera w tym przekonaniu; nie bez wpływu na jego poglądy pozostała również świadomość powszechniejszego kryzysu rodziny, jaki daje się odczuć we współczesnym świecie. W istocie ten pomysł rekonstrukcji rodziny zakrawał początkowo na utopię. Jednak w roku 1949 Gmeiner tworzy samotnie, bez jakiejkolwiek pomocy, zalążek obecnego Towarzystwa Opieki nad Dzieckiem, organizacji całkowicie prywatnej, niezależnej utrzymującej się do dnia dzisiejszego z dobrowolnych ofiar członków i mecenasów — Towarzystwo to prowadzi własne Wiejskie Ośrodki Dziecięce. W tej chwili liczba członków, którzy na ten cel miesięcznie wpłacają minimum 1 szyling, przekroczyła dwa miliony (w samej Austrii milion). Jest poza tym wielu gorących entuzjastów tego dzieła w kilkudziesieciu krajach. Podstawę utrzymania stanowią składki, część finansów pochodzi z tzw. patentów (nad dzieckiem czy rodziną) — deklaracje mogą składać zarówno osoby prywatne jak i przedsiębiorstwa czy instytucje — oraz z różnorodnych fundacji.

Towarzystwo posiada także własne wydawnictwo, gdzie drukuje się broszury informacyjne, kwartalne pisemko, karty okolicznościowe itp., razem ok. 20 mln. druków rocznie. Dzisiejsza ogromna i zasobna w środki instytucja zaczęła się bardzo skromnie — kapitał zakładowy, jaki wniósł sam Gmeiner, wynosił 600 szylingów. W rok po założeniu Towarzystwa, w 1950, powstaje pierwszy ośrodek w Imst w górach Tyrolu. Ku zdziwieniu niechętnych i pesymistów utopia Gmeinera zrealizowała się niesłychanie szybko, dziś działa w kilku krajach Europy (Austria, Niemcy Zach., Francja, Włochy i Finlandia) 26 takich ośrodków, 40 znajduje się w budowie lub w stadium projekcyjnym.

Każdy z takich ośrodków tworzy kolonię co najmniej kilku jednorodzinnych domków — największa kolonia, 35 domków z 300 dziećmi, znajduje się w Hinterbrühl — na rodzinę składa się „matka" z 8 czy 9 dziećmi w wieku do 14 lat. Stanowisko to związane jest z pewnymi warunkami: „matka" musi mieć przynajmniej 25 lat, być niezamężną lub bezdzietną (wchodzą w grę także bezdzietne wdowy), musi być osobą głęboko religijną, absolutnie zdrową oraz posiadać umiejętności prowadzenia gospodarstwa domowego. Taka kandydatka przechodzi następnie odpowiednie przeszkolenie w specjalnym zakładzie prowadzonym przez Towarzystwo — bezpłatna nauka trwa 4 miesiące, główny nacisk kładzie się na gotowanie i szycie. Otóż taka rodzina zamieszkuje jeden domek, „matka" prowadzi oddzielną kuchnię, opiekuje się i troszczy na wzór normalnych matek. Za tę pracę otrzymuje pobory (14 pensji w roku), ubezpieczenia socjalne oraz 4 tygodnie urlopu plus 2 wolne dni w miesiącu, warunki zatem zupełnie dobre.

Aby zachować charakter „prawdziwej" rodziny, pomyślano także o „ojcu", który pomaga „matce" w skomplikowanych sprawach wychowawczych, wzmacnia jej autorytet. Ze względów ekonomicznych i pedagogicznych zrezygnowano z „ojców" poszczególnych rodzin, obowiązki te sprawuje w odniesieniu do całego ośrodka jej kierownik; także kandydaci na to stanowisko zostają przyjęci po pewnym przeszkoleniu i stażu. Łatwo stwierdzić, że wszystkie te zabiegi organizacyjne i urządzenia służą do odtworzenia warunków prawidłowej egzystencji rodzinnej, wywołania klimatu ciepła ogniska rodzinnego. Dlatego m. in. przyjmuje się rodzeństwa, ośrodki nie prowadzą szkoły, wszystkie dzieci chodzą do publicznej szkoły, spotykają się na co dzień ze swoimi „normalnymi" rówieśnikami, w ten sposób zatracają stopniowo kompleks osamotnienia, obcości, inności. W zasadzie każde dziecko zdrowe fizycznie i psychicznie ma szansę dostania się do ośrodka — większość przyjętych dzieci odczuwa jednak różnego rodzaju zaburzenia psychiczne. Przebywają tu do 14 roku życia, następnie zgodnie z zainteresowaniami i zdolnościami, kieruje się je do szkół zawodowych (dla chłopców i dziewcząt, prowadzonych także przez Towarzystwo). W sumie zapewnia się tym dzieciom pomoc aż do uzyskania materialnej niezależności.

Skorzystałem z zaproszenia i odwiedziłem jeden z ośrodków. Co tydzień stoi otworem jeden z domków. Rodziny, przeważnie tylko babcie, mogą odwiedzać swoje pociechy raz na kwartał, wzbronione jest dawanie dzieciom pieniędzy lub słodyczy, by nie wywoływać niepotrzebnych urazów. Piękny park, dużo słońca i bieli i rozbawiona nieprzytomnie dzieciarnia. Jesteśmy często skonni sugerować innym, całkiem mylnie, niepotrzebnie, nasze własne stany i odczucia. Patrzyłem ze wzruszeniem, jak dwie dziewczynki, na ławce, pod cieniem kasztanów, ubierały z pieczołowitością, powagą znajomości rzeczy, swoje lalki w zawiłe stroiki ludowe. Powaga jaką rasowe kobiety zawsze przykładają do spraw garderoby, przykuwającą wzrok powagę tych kobieciątek, wziąłem za refleks ciemnych przeżyć. Po co?

Teraz w maju trwają przygotowania do wyjazdu na wczasy. Co roku dzieci z wszystkich ośrodków (austriackich i zagranicznych) spotykają się w specjalnym obozie wypoczynkowym nad jeziorem Caldonazzo w południowym Tyrolu. Niewątpliwie spotkania te są znakomitą okazją do wzajemnego poznawania się i współżycia dzieci różnych narodowości.

W 1958 roku wielki Albert Schweizer wystąpił z wnioskiem o przyznanie H. Gmeinerowi pokojowej nagrody Nobla. Tę kandydaturę popiera obecnie wiele czołowych osobistości. Jeśli jakieś prawdziwe ludzkie zasługi można zrównoważyć czy określić nagrodą, austriacki przyjaciel dzieci winien otrzymać tę satysfakcję.

STANISŁAW KASZYŃSKI

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

STANISŁAW BARAN

Zawodnik musi mieć talent — mówi Stanisław Baran. Nawet ci, którzy dużo i solidnie pracują, nie osiągają dziś dobrych wyników, jeżeli nie posiadają czegoś, co trudno określić, a co przyjęliśmy nazywać talentem". Jeden z najbardziej znanych, i tym, którzy sportem się nie zajmują, piłkarzy rozpoczynał karierę zawodniczą przed wojną, jako zaledwie kilkunastoletni chłopiec. „Mój ojciec — mówi — był zawodowym podoficerem i sprawował w XX pułku ułanów funkcje kucharza. Zacząłem uprawiać wszystkie niemal dyscypliny jednocześnie i stawałem do zawodów ze znacznie starszymi od siebie żołnierzami. Mając 15 lat występowałem ubrany w barwy ułańskiego pułku na oficjalnych zawodach sportowych. W Rzeszowie, już jako uczeń tamtejszego gimnazjum, wbrew oficjalnemu zakazowi grałem w wojskowo-cywilnym Klubie „Resovia". Oczywiście moja miłość do sportu i namiętność z jaką grywałem w futbol nie najlepiej odbijała się na nauce i moja szkolna kariera obfitowała w momenty dramatyczne. Zwróciłem na siebie uwagę jeszcze w Resovii, zaczęto wymieniać moje nazwisko w gazetach... Mieliśmy z Hogendorfem opiekuna, kapitana Janoszka, świetnie go dotąd pamiętam, znosił wszystkie nasze sztubackie figle, załatwiał korepetycje, był fanatykiem piłki i potem kiedy obydwaj uciekliśmy do Warszawy, ogromna mu tym sprawiliśmy przykrość".

W Warszawie Stanisław Baran należał do klubu „Warszawianka", skupiającego najlepszych polskich zawodników i grał w jego barwach do czasu wybuchu wojny. Mając lat siedemnaście, w roku 1938 pojechał na mistrzostwa świata do Strasburga jako zawodnik rezerwowy (w meczu z Brazylią, Polska przegrała wtedy 5:6). W roku 1939 grał w naszej reprezentacji na międzynarodowym spotkaniu Polska — Węgry, w którym to drużyna polska wygrała 4:2. Wojna przerwała świetnie zapowiadającą się karierę Stanisława Barana. Jeszcze w okresie okupacji grał w konspiracyjnych meczach z „Garbarnią" i „Wisłą", był wtedy w świetnej formie, trenował. Po wojnie z Łączem i Hogendorfem zasilili drużynę ŁKS. Od 1946 r. nazwisko Barana wymieniane jest wśród najlepszych piłkarzy. Gra w ataku, potem w obronie, potem znowu w ataku. Są to piękne lata świetności ŁKS, lata wspominanych dziś czule zwycięstw w pierwszej lidze... Baran gra osiem razy na oficjalnych międzynarodowych spotkaniach, jest jednym z najlepiej i najcelniej strzelających bramki zawodników, ma tytuł wicekróla strzelców.

„Publiczność — mówi — bywa bardzo niesprawiedliwa. Nie umie wybaczać błędów, szybko zapomina o zasługach i osiągnięciach, często zmienia ulubieńców. Czasem niekorzystnie wpływa na przebieg spotkania. Dla zawodnika w pełnej formie, mającego za sobą kilkanaście meczów publiczność prawie nie istnieje, zawodnik nie dostrzega jej, prawie nie słyszy. Deprymująco działa na zawodników bardzo młodych i tych, którzy kończą swoją karierę sportową. Ci tracą najczęściej, po pierwszym niepowodzeniu, orientację, nie oceniają należycie sytuacji, grają niecelnie. Bardzo często świetnie przygotowani do meczu zawodnicy speszeni zachowaniem publiczności nagle zawodzą. W 1958 roku Stanisław Baran, prawie czterdziestoletni, w pełni formy przestaje występować jako zawodnik. Ma za sobą około 400 meczów rozegranych przed wojną i około 600 rozegranych po wojnie (każdy zawodnik rozgrywa w sezonie około 50 meczów). Zostaje trenerem — „to bardzo trudna i niewdzięczna praca — mówi. — Nie daj Boże, niepowodzenie, całą winę składa się na trenera. Dobry trener to ktoś, kto łączy talent pedagogiczny z umiejętnością demonstrowania zawodnikowi sposobów technicznych rozgrywania meczów. Nie wystarczy tu tylko to, że trener jest dobrym graczem. Trener musi umieć swoją wiedzę przekazać, musi umieć porozumieć się z zawodnikiem, musi go wreszcie wychować. A to nie zawsze jest proste. Kiedy zaczynałem grać w futbol nie miałem trenera i nikt mnie niczego nie uczył. Dziś na młodych ludzi wszystko czeka: boisko, kostium, trener, lekarz. Zawodnicy są dokarmiani i dofinansowywani. Ale młodzi ludzie nie zawsze umieją to ocenić.

Przed wojną miałem w „Warszawiance" treningi dwa razy w tygodniu. Współcześni zawodnicy mają treningi dwa razy dziennie. Wyśrubowane wyniki tworzyły sytuację, w której sport wyczynowy, to właściwie zawód. I to zawód bardzo ciężki. Od zawodnika wyczynowego wymaga się talentu, niemal ascetycznego trybu życia i ciągłej pracy nad utrzymaniem kondycji, dobrej formy i wyników. Przed wojną wystarczał dwumiesięczny trening, by zawodnik był w pełni przygotowany do sezonu. Teraz zawodnik pracuje cały rok. Dlatego myślę, że w sporcie wyczynowym, przynajmniej w niektórych jego dyscyplinach należałoby wprowadzić zawodowstwo. Uzdrowiłoby to stosunki, korzystnie z całą pewnością wpłynęłoby na wyniki. Zawodowiec otrzymujący pensję miesięczną zabiegałby o utrzymanie swojej pozycji, nie dochodziłoby do paradoksalnej sytuacji, w której trener obejmuje obowiązki anioła stróża".

Gdybym rozpoczynał życie na nowo — mówi Stanisław Baran, wybrałbym powtórnie piłkę jako sprawę w życiu najważniejszą. Nigdy nie traktowałem sportu jako źródła dochodu, tak jak to robią niektórzy młodzi zawodnicy. Grałem w piłkę, bo mnie to bawiło, pasjonowało, bo wreszcie w roli piłkarza czułem się najlepiej. Była to w moim życiu największa pasja i największa namiętność.

ARYSTARCH

KWAŚNE WINOGRONA

Któż nie zna słynnej bajki Jean de La Fontaine'a (1621—1695) pod tytułem „Lis i winogrona"? Znacie? No, to, jak mówi pan Jowialski, posłuchajcie:

Lis Gaskończyk, a inni
z Normandii go wiodą,
Z głodu mrąc prawie, na
kracie wysoko
Zobaczył winogrona,
dojrzałe, na oko,
Kraśniejące skórką młodą.
Chętnie by sobie sprawił
z nich biesiadę,
Lecz że ich sięgnąć nie
mógł, choć wysoko skakał:
— Jeszcze zielone, rzecze,
chłopstwo zje to rade.
Czyż nie lepiej uczynił, niż
by darmo płakał?

Nie bez powodu przytoczyłem tę bajkę, która dostąpiła tego zaszczytu, że jej treść i tytuł zostały przejęte przez współczesnych uczonych psychosocjologów dla określenia stanu uczuciowego względnie stanu jednostki nazwą „mechanizmu kwaśnych winogron". Jest to stan względnie reakcja, polegająca na przewartościowaniu („przecenie" jak by powiedzieli nasi zaopatrzeniowcy) przez jednostkę celu, nie dającego się osiągnąć, dzięki czemu ów nie osiągnięty cel zostaje w sądzie jednostki pomniejszony i bagatelizowany, i przestaje się (pozornie) wydawać tak ważny i cenny, jak wydawał się poprzednio, z początku, kiedy przedstawiał się jako możliwy do osiągnięcia.

Problem ten pozostaje w związku z modnym i coraz częściej stosowanym w dyskusjach i polemikach prasowych pojęciem tak zwanej frustracji.

W „Listach do pani Z." (XII, PIW 1963) Kazimierz Brandys twierdzi, że „może się Pani na to uśmiechnąć, ale socjologia traktuje to poważnie: zjawisko „frustracji" czy rodzaj depresji nazywanej „martwicą" stały się przedmiotem badań profesorów". Otóż to! Socjologia i profesorowie! Święta prawda! Ponieważ jednak Brandys nie definiuje modnego zjawiska, postarajmy się dowiedzieć, co mówią na ten temat uczeni psychosocjologowie.

Każdy człowiek trafia w swoim życiu później lub wcześniej na sytuacje, w których jego inteligencja, wiedza, intuicja i doświadczenie zawodzą. Może wówczas w nim powstać stan psychiczny zwany właśnie frustracją. Frustracją będzie w zasadzie każde napotkanie nieprzezwyciężonej przeszkody w dążeniu do osiągnięcia celu.

Tego rodzaju przeżyć dostarcza nam nieraz nasz aparat usługowy, gdy wskutek doraźnych zakłóceń nie zaopatruje rynku w odpowiednią masę towarową. Biegając po sklepach z perfumerią lub od jednego kiosku „Ruchu" do drugiego w poszukiwaniu żyletek albo poszukując daremnie miętowych cukierków lub filmów do aparatu fotograficznego przeżywamy typowe reakcje frustracyjne. Wreszcie zamiast dobrych Extra-Łodzi kupujemy tępawą Rawę-Lux pocieszając się, że nie jest gorsza od Extry (kwaśne winogrona!).

W poważniejszych wypadkach, gdy nasze nie zaspokojone dążenia zostały zahamowane, towarzyszyć może frustracji poczucie porażki i przykre wrażenie zachwiania własnego prestiżu, a nawet świadomość zagrożenia. Wtedy już sprawa zaczyna być poważna. Artysta, przeżywający okres niemocy twórczej i niezdolny do stworzenia upragnionego arcydzieła, reaguje z histerycznym oburzeniem na wszelką krytykę i upatruje zmowę krytyków, tam, gdzie jej nie ma, a wresz-

MARIA KORNATOWSKA

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Po III FFK w Krakowie

Kadr z filmu K. Gordona „Bronisław W. Linke", prod. WFO.

Z przykrością, a także i z zazdrością stwierdzić trzeba, że krakowski Festiwal Filmów Krótkometrażowych zyskał już pełne prawo obywatelstwa w podwawelskim grodzie, który przejął trzy lata temu bardzo po macoszemu potraktowaną w Łodzi, kiełkującą z inicjatywy redakcji „Głosu Robotniczego" podobną imprezę. Trzeci FFK trwający od 1 do 8 czerwca br. ściągnął nie tylko kilkasetek krajowych uczestników reprezentujących środowiska wszystkich polskich wytwórni filmów krótkometrażowych, dziennikarzy gazet i czasopism, ale także, co jest bardzo ważne, niebagatelną liczbę gości z zagranicy — filmowców, dyrektorów takich festiwali filmowych jak Mencheim, Oberhausen, Lipsk, Karlove Vary, dystrybutorów i oczywiście dziennikarzy zagranicznych łącznie z egzotycznym Hindusem przedstawicielem czasopisma kulturalnego „Time and Tide". Festiwal krakowski jest jedyną z prawdziwego zdarzenia imprezą tego typu na terenie naszego kraju. Naszym pierwszym festiwalem filmowym, bo warszawski czy łódzki Festiwal Festiwali był w gruncie rzeczy przedsięwzięciem propagandowo-komercjalnym.

Organizatorzy FFK zdali egzamin na 5. Rzecz wprost niewiarygodna biorąc pod uwagę tzw. specyfikę narodową. A że uroczy Kraków stanowi wymarzoną wprost scenerię dla oficjalnych i nieoficjalnych punktów festiwalowego programu, tego chyba podkreślać nie trzeba. Mówili o tym zresztą wszyscy zagraniczni goście Festiwalu, uważając iż ma on wszelkie dane stać się imprezą międzynarodową. Zgodnie z zapowiedziami organizatorów, już w roku 1965, kiedy to zostanie stworzona odpowiednia baza hotelowo-kinowa, FFK przeobrazi się w wielki międzynarodowy przegląd krótkiego metrażu. Już teraz jednak, w trakcie festiwalu sprzedano za granicę około 130 tytułów filmowych na sumę blisko miliona 600 tys. zł dewizowych. Efekty festiwalu uchwytne są więc nie tylko w kategoriach kulturalno-estetycznych, ale i w tzw. brzęczącej monecie.

Czas zająć się samymi filmami prezentowanymi na festiwalu przez 6 wytwórni krajowych, WFO i Semafor — Łódź, WFD Studio Miniatur Filmowych i Wytwórnia WP „Czołówka" — Warszawa, oraz Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej. Tych 61 filmów daje prawie pełny obraz naszego krótkiego metrażu. Obraz ten nie napawa niestety nadmiernym optymizmem. Nie chodzi nawet o to, że nie zobaczyliśmy w Krakowie żadnej „rewelacji", z wyjątkiem słynnego już „Labiryntu", ale o to, że przytłaczająca większość pokazanych filmów była nijako przeciętna, mało odkrywcza, zdradzała jakiś zasadniczy brak inwencji, wtórność, ubóstwo treści poznawczych i artystycznych. Dotyczy to, niestety, wszystkich kategorii krótkiego metrażu.

Zacznijmy od dokumentu. Z żalem trzeba stwierdzić, że znakomita do niedawna polska szkoła dokumentalna przeżywa okres wyraźnej stagnacji. Znamion tej stagnacji dopatrywaliśmy się przede wszystkim w stępieniu publicystycznej, polemicznej pasji dokumentu w „ugrzecznieniu" go, w zaniechaniu szukania możliwości nowego spojrzenia na rzeczywistość. Nasi dokumentaliści jako jedyną metodę penetrowania i odkrywania rzeczywistości, przyjęli tzw. metodę Karabasza. Trzymają się jej niewolniczo, epigońsko naśladują, nie rozwijając jej ani nie wzbogacając. Przykładem tego jest nagrodzony Grand Prix, film Kidawy „Pierwsza zmiana" i tegoż reżysera „Inny Śląsk" — znacznie zresztą od pierwszego gorszy. Film Kidawy interesujący w koncepcji (przypominającej bardzo „Węzeł") załamuje się jednak w realizacji. W pewnym momencie przestajemy wierzyć w autentyczność tego co oglądamy na ekranie. Widzimy człowieka, który gra przed kamerą. W „Innym Śląsku" wybór obserwacji jest zupełnie przypadkowy i absolutnie nie odkrywa przed nami innego oblicza popularnego zespołu. Z Karabasza wywodzi się również „Źródło" Jaworskiego (drugi laureat Grand Prix) ale tu reżyserowi udało się wyjść z opałów obronną ręką dzięki dramatyczności tematu, ciekawemu doborowi twarzy i fragmentów wypowiedzi oraz przemyślanej kompozycji filmu (rola ramy). Ale i Jaworski nie uchronił się od nadmiernego wygrywania pewnych momentów (scena zebrania). „Źródło" dowodzi, że nie w metodzie leży przyczyna klęski, lecz w jej nieprzemyślanym i efekciarskim stosowaniu. Zresztą najlepsza nawet metoda powielana bez końca przerządza się w maniere.

Wspominaliśmy już o stępieniu polemicznej pasji dokumentu. Rezultatem tego jest ilustracyjność filmów tym bardziej rażąca, w wypadku gdy komentarz natretnie dubluje to co przekazuje obraz. Tej jakiejś zadziorności, ostrości spojrzenia, brak takim filmom jak np. „Jasny dzień wolności" W. Forberta, w którym warto podkreślić natomiast świetnie wygrany wizualnie motyw zamknięcia, izolacji, krat, czy też „Ziemia Wielkopolska" Ziarnika. Ten ostatni ma być jakoby filmem publicystycznym. W istocie jest ciężki, nudny, co gorsza mało przekonywający. Ilustracyjność i powierzchowność to główne wady „Czterech oblicz Mazowsza" Grabowskiego (produkcja WFO) i „Dwóch Warszaw" Wionczka (zręcznie wykorzystany komentarz). Na marginesie chcielibyśmy zwrócić uwagę na pewien znamienny fakt. Przy masowym oglądaniu krótkiego metrażu nasuwa się często widzowi nader dziwne pytanie: po co właściwie produkuje się ten czy inny film, skoro przekazuje on aż nadto znane treści, powierzchownie, migawkowo, i w dodatku nieatrakcyjnie jak choćby w wypadku wspomnianej już „Ziemi Wielkopolskiej". Przeciwieństwem filmu Ziarnika jest „Sto lat" Kosińskiego — dokument montażowy o sporym ładunku poznawczym i dowcipnym komentarzu Waldorffa.

Do filmów montażowych mieliśmy w ogóle szczęście na tegorocznym festiwalu (czyżby nowa moda w naszej kinematografii?). Tu na pierwszym miejscu wymienilibyśmy świetny film Majewskiego („Srebrny smok") — „Album Fleischera" z bardzo dobrym komentarzem (rzecz rzadka a więc cenna) Kąkolewskiego. Natomiast w „Requiem dla 500.000" (Złoty Smok) — Bossak i Kaźmierczak nie wykorzystali jak się zdaje w pełni archiwalnych materiałów niemieckich, ubożąc w ten sposób dramatyczność i tragizm obrazu. Inaczej też chyba należało pomyśleć komentarz do filmu nazwanego przez realizatorów „Requiem" i inaczej wyważyć wewnętrzne proporcje przedstawionego materiału. Natomiast pięknym akcentem filmu Bossaka jest podłożenie pod sekwencję zagłady getta wspaniałego nagrania „Alleluja" Haendla.

Dokument poetycki tak jeszcze do niedawna popularny u nas reprezentowany był na festiwalu przez dwie pozycje: cukierkową i banalną „Suitę Polską" Łomnickiego i naprawdę piękny, opatrzony o dużych wartościach literackich, komentarzem pani Kuncewiczowej film M. Kwiatkowskiej „Nad Wisłą". Bardzo prostymi środkami potrafiła realizatorka odtworzyć anachroniczny urok nie istniejącego już świata, ukazać melancholię przemijania i trwania, stopić przeszłość z teraźniejszością. Sądzimy, że film Kwiatkowskiej zasługiwał na wysoką ocenę jury i trudno doprawdy zrozumieć dlaczego pominięto go przy podziale nagród. Tak jak trudno zrozumieć dlaczego Brązowego Smoka otrzymała „Odra" reż. J. Vaulin. Z filmów „Czołówki" bardziej chyba zasługiwała na wyróżnienie publicystyczna „Odpowiedź" Drapelli. Odnotowaliśmy na festiwalu całkowity brak felietonistyki filmowej, filmu interwencyjnego, bardzo mało pozycji z zakresu publicystyki sensu stricto. Odnotowaliśmy też pewne odejście od spraw współczesnych, aktualnych na rzecz tematyki okupacyjnej i historycznej (stąd zapewne popularność dokumentu montażowego). W obliczu gwałtownego rozkwitu filmu dokumentalnego w innych krajach, rozwoju tzw. cinema-verite, w obliczu szukania coraz to nowych metod i sposobów odkrywania i pokazywania otaczającego nas świata, dokument polski zaczyna, niestety, zostawać w tyle zatracając to co stanowiło o jego potędze i nie próbując znaleźć nowych i lepszych dróg.

Podobnie jak w filmie dokumentalnym można obserwować trwającą od dłuższego czasu stagnację tak samo w drugim, co do ilości prezentowanych na Festiwalu filmów, gatunku tzw. filmu oświatowego daje się łatwo spostrzec nie tyle stagnację, co raczej pewien chaos w precyzji dobierania i ukazywania tematów z zakresu historii i fizyki, krajoznawstwa i medycyny społecznej, sztuki i folkloru. Ów chaos wytworzyli nie tylko ludzie odpowiedzialni za produkcję krótkometrażową w tych dziedzinach, ale także wiele do zarzucenia pod tym względem powinna mieć w stosunku do samej siebie krytyka filmowa i członkowie jury tak poprzedniego jak i tegorocznego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Dla przykładu podajemy, że w roku ubiegłym pierwszą nagrodę w kategorii filmów oświatowych przyznano skądinąd świetnemu filmowi Karabasza „Pierwszy krok", ale niestety, filmowi, który nie jest filmem oświatowym, lecz jak najbardziej filmem dokumentalnym, posługującym się wspomnianą już wielokrotnie nadużywaną, manierystyczną metodą refleksyjno-obserwacyjną. Oczywiście można napisać i powiedzieć, że granica pomiędzy filmem dokumentalnym, a oświatowym staje się z upływem lat i ciągłym rozwojem filmu krótkometrażowego granicą płynną, względną, ba, może nawet już zanikającą. Niemniej w przypadkach przedstawionych filmów na obecnym Festiwalu popełniono [illegible] w kwalifikacji np. reportażu dokumentalnego — „Flisacy" Grabowskiego i Czecza. Ten dokument filmowy o ludzkiej pracy uznano za film oświatowy i przyznano mu trzecią nagrodę w kategorii tzw. „oświatówek". Ów brak sprecyzowania w klasyfikacji, brak kryteriów nie tylko może w stosunku do tematu, co raczej do formy filmowej, przy pomocy której dany temat został ukazany spowodował to, że z roku na rok w szeregach realizatorów parających się twórczością filmową w dziedzinie filmów popularnonaukowych i oświatowych nastąpiło zamieszanie prowadzące do przysłowiowego wylewania dziecka z kąpielą pod wpływem ciągle nie sprecyzowanych i przypadkowych kryteriów i bodźców ze strony naszej krytyki filmowej.

W tym zamieszaniu nie zdano sobie sprawy z tego, że podstawową wadą większości naszych filmów popularnonaukowych i oświatowych, było gadulstwo, opisywanie komentarzem, słowem, obrazu filmowego i wreszcie wcale jak na krótkometrażowy film niezbyt krótki metraż filmów oświatowych sięgający przeciętnie powyżej dwóch aktów, które oglądało się ponad dwadzieścia minut. Co pod tym względem zaobserwować można było np. w filmach popopularnonaukowych zaprezentowanych na tegorocznym Festiwalu w Krakowie? Trzeba przyznać, że filmy te są wreszcie krótsze, że ich realizatorzy starali się temat ukazać jak najprościej, tak jak to zrobił reż. Janusz Star w swym filmie popularnonaukowym o perspektywie badania Srebrnego Globu „Jedną nogą na Księżycu". Inny ciekawy film oświatowy z dziedziny biologii, a ściślej z genetyki — „Życie trwa", J. Arkusza nie mógł niestety być brany pod uwagę z winy komentarza nie tylko zbyt długiego, ugrzecznionego literacko, ale także fatalnie interpretowanego przez lektora. Słuchanie tego komentarza mogło wystarczyć za torebkę słodkawych aż do znudzenia i szeleszczących aż do wściekłości cukierków. Dlatego też, nie tyle temat, co wcale nie nowa, ale żywa forma filmu rysunkowego reż. Witolda Giersza „Dinozaury" podziałała jak dobry trunek na członków jury, którzy uwieńczyli ten odznaczający się tylko poprawnością film — „Złotym Smokiem" i I nagrodą w kategorii filmów oświatowych.

Jak najbardziej zasłużenie przyznano II nagrodę kapitalnemu filmowi z dziedziny psychologii dziecka „Lustro i ja" reż. J. Żukowskiej. I tutaj obok bardzo dobrej realizacji dużego wkładu operatora N. Berestowskiej poważnym minusem tego interesującego filmu jest komentarz napisany przez konsultanta doc. Izabelę Bielicką. Komentarz aż tak mądry i naukowy, że w efekcie nieco męczący. Będąc już przy roli konsultanta w filmie oświatowym musimy stwierdzić, że w tym gatunku twórczości filmowej właśnie konsultanci w swej większości nie znając sposobów operowania środkami filmowymi narzucają realizatorom poprawność merytoryczną, naukową, dającą w efektach często szkolarski, mentorski popis wszelakiej wiedzy z zakresu dyscypliny naukowej jaką uprawiają. Film staje się wtedy zlepkiem ruchomych przezroczy i po prostu, co mocniejszych widzów irytuje, a co słabszych usypia.

Niewątpliwie przykładem takiej niezdrowej dla filmu oświatowego ingerencji konsultanta był pokazany w Krakowie film „Nogi" W. Rollny, która wzięła na warsztat sprawę codziennej higieny i pielęgnacji nóg. Ta „filmowa pielęgnacja nóg" zabrałaby nam chyba w życiu zbyt wiele czasu, gdyby stosować wszystkie wskazania jej autorów. Wszystkoizm, „upinanie wszelakich błyskotek do jednej sukni" jest wadą nie tylko wymienionego filmu. Dotyczy to także choć pod innym względem dwóch bardzo ciekawych filmów o sztuce reż. Gordona „B. W. Linke" i „Cyrk". Chyba sztuka plastyczna Bronisława Linkego jest tak wymowna, zaangażowana, tak programowa, że nie ma potrzeby tłumaczyć jej widzowi przy pomocy naturalistycznego dźwięku. Szkoda, że opracowanie dźwiękowe tych dwóch filmów odebrało im szanse pretendowania do nagrody miasta Krakowa za film o sztuce. Podobno, żeby mili krakowscy gospodarze mogli komu wręczyć Złotego Smoka i kilkanaście tysięcy złotych znaleziono „Eseje" reż. F. Fuchsa, pod względem filmowym raczej przypadkowy bełkot montażowy. Dobrze, że nie potrzebujemy tego napisać o pięknych tanecznych pas pani Alicji Boniuszko i jej partnerów. Nie wiadomo dlaczego jury nie zdołało zauważyć i sklasyfikować naszym zdaniem interesującego i bardzo kulturalnie zrealizowanego filmu o sztuce reż. B. Mościckiego „Pałac Łazienkowski". W gatunku filmów krajoznawczych niewątpliwie próba szukania nowej formuły był film reż. Z. Bochenka „Barwy Pienin" wyróżniający się pięknymi barwnymi zdjęciami, aż może zbyt pięknymi i niestety niepotrzebnym balastem w postaci kilku zdawkowych zdań komentarza. Dyskusyjna wydaje się być w tym filmie muzyka Chopina, jako ilustracja muzyczna wymienionego filmu. Festiwal krakowski nie nasuwa więc zbyt optymistycznych wniosków po obejrzeniu szeregu filmów popularnonaukowych i oświatowych, czy filmów o sztuce. Pisać można raczej o poprawności, nieudanych próbach szukania tzw. nowych form filmowych, szukania często po omacku. Trzeba też wspomnieć o wielokrotnie zaskakujących werdyktach jury, do których Festiwal krakowski, a szczególnie filmy oświatowe do tej pory raczej nie miały szczęścia.

(Dokończenie za tydzień)

---

cie sam przechodzi do agresji i wrogich wystąpień przeciwko, tym, którzy ośmielili się poddać obiektywnej krytyce jego twórczość względnie działalność społeczną, powiedzmy, na stanowisku prezesa.

Nieraz w banalnych zdarzeniach z życia rodzinnego można obserwować typowe objawy frustracji: Mąż powracający do domu po niepowodzeniach w swym zakładzie pracy wywiera swój gniew na Bogu ducha winną żonę dając przykład agresji jako rezultatu frustracji.

Wszystko jednak jest na tym świecie względne! Socjopsychologowie angielscy zauważyli, że chłop egipski, dla którego głód bywa chlebem powszednim, w mniejszym stopniu ulega frustracji na myśl o klęsce nieurodzaju, niż robotnik brytyjski — wobec trudności, jakie może napotkać w nabyciu telewizora albo roweru.

W poważnych osobistych przeżyciach nagromadzenie zmagazynowanej energii psychicznej, która nie znajduje ujścia, czyli — nie osiągnięcie celu rzadko kończy się przewartościowaniem i porzuceniem powziętego zamiaru, jako rzekomo mało atrakcyjnego (kwaśne winogrona). Częściej depresja z powodu niepowodzenia prowadzi do nienawiści przeciwko tym, którzy przeciwstawili się realizacji naszego celu albo nawet — do nienawiści przeciwko samemu sobie za nieudolność, co może zakończyć się apatią, nerwicą lub nawet samobójstwem.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że źródła i przyczyny frustracji wynikają ze stosunków osobistych. Przyczyny mogą być również bezosobiste. Socjologowie amerykańscy i europejscy w państwach kapitalistycznych wskazują na bezrobocie jako poważne źródło frustracji. Wróg jest wówczas anonimowy: stosunki społeczne, ustrój, zaś frustracja może prowadzić do całkowitej apatii i rezygnacji. Człowiek czuje się bezradny w walce z anonimową potęgą bezosobistych sił kapitału. W zagranicznych studiach socjologicznych znajdujemy wstrząsające opisy tego rodzaju przeżyć. „Journal of Social Psychology" opisuje szczegółowo stan rezygnacji bezrobotnego. W zrujnowanym gospodarczo miasteczku austriackim (cytuję za J.A.C. Brownem „Społeczna psychologia przemysłu"), w którym przeprowadzano badania, zaobserwowano, że ludzie przestali się starać o znalezienie pracy, a nawet zaniechali swoich ulubionych rozrywek. Pewien ciesła w wieku około trzydziestu lat, pobierający zasiłek, opowiadał, że po zwolnieniu z pracy był początkowo przygnębiony. Przez pewien czas poszukiwał rozpaczliwie pracy, ale po wielu bezowocnych próbach zobojętniał. „Postanowiłem nigdzie nie wychodzić. Od miesięcy już leżąc na słońcu czekam spokojnie dnia, kiedy żona mi powie, że wydała ostatnie pieniądze i że sklepikarz nie chce nam już dawać na kredyt. Trwa to już bardzo długo i zapytuję siebie, jak ostatecznie los zadecyduje".

Przerywam cytat. Dosyć! Nam w Polsce trudno uwierzyć, że tego rodzaju reakcje frustracyjne mogą jeszcze istnieć we współczesnym świecie. I myślimy chyba tylko: Boże, strzeż nas przed kwaśnymi winogronami!

ARYSTARCH

CO w terenie?

W Wolborzu powstaje Towarzystwo Przyjaciół Wolborza, które stawia sobie za cel krzewienie miłości i przywiązania do tego miasteczka wśród jego mieszkańców. Towarzystwo zajmie się m. in. badaniem przeszłości Wolborza przez wyszukiwanie w najstarszych kronikach i dokumentach historycznych wzmianek o swoim mieście, będzie gromadzić i konserwować pamiątki archeologiczne znalezione na terenie miasta, zbierać legendy wolborskie, baśnie, stare opowieści i angedoty.

Redakcja tygodnika „Nowa Wieś" i tygodnika „Spółdzielnia Produkcyjna" wspólnie z Zarządem Głównym ZMW oraz Radą Główną LZS podjęły pożyteczną akcję pod hasłem „Na majówki bez złotówki". Jej celem jest zachęcenie młodzieży wiejskiej do organizowania często jeszcze mało popularnych imprez kulturalno-wypoczynkowych na wolnym powietrzu. Akcja przewiduje organizację zespołowych niedzielnych wyjazdów do pobliskiego lasu lub nad wodę, sąsiedzkie wizyty u młodzieży z innych wsi, zielone kuligi, wycieczki krajoznawcze itp. Wszystko to bez specjalnych kosztów i wysiłków organizacyjnych, ale za to wesoło, z piosenką na ustach. A więc — wszyscy na majówki — bez złotówki!

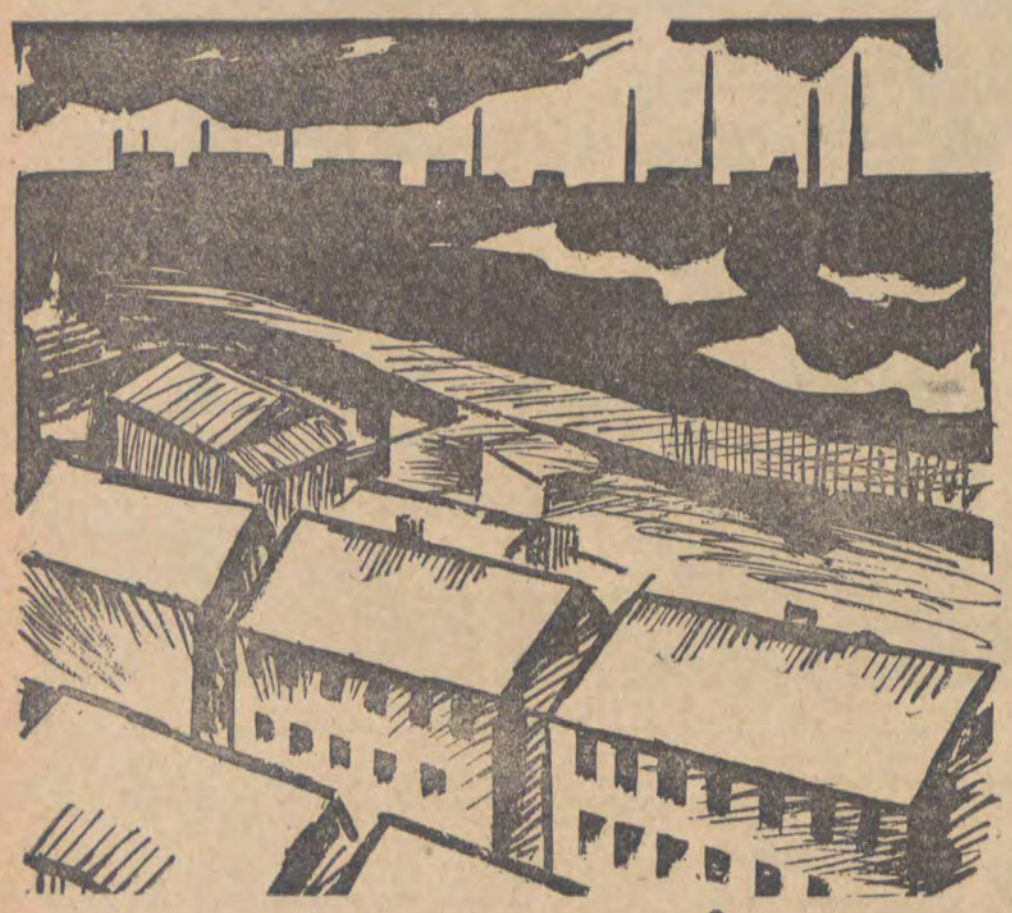

BRONIĘ KSIĘŻEGO MŁYNA

Dalszy ciąg ze str. 1

skich bokobrodach, o twarzy sybaryty i oczach pastora.

Więc kim był Karol Scheibler?

Pochodził z rodziny duchownych, kaznodzieją był jego prapradziadek, pastorem pradziadek, a także dziadek. Natomiast ojciec, Peter Christoph wywinął koziołka, zamienił Biblię na książeczkę czekową. Zbudował fabrykę w Montjoie w zachodniej Nadrenii. W tymże Montjoie przyszedł na świat Karol Scheibler, który miał potem wycisnąć stempel na obliczu dalekiej Łodzi. Młody pan Karol, nim wylądował w fabryce u Schlosserów w Ozorkowie, zjeździł pół Europy. W 1853 roku zajrzał do Łodzi. Audiencji udzielił mu Treager, prezydent miasta, który z punktu ofiarował Scheiblerowi rozległe tereny w pobliżu „Quellen" — źródeł. Scheibler złapał szansę za rogi, rzucił Ozorków, rychło postawił przy Wodnym Rynku pierwszą zmechanizowaną fabrykę włókienniczą. Pobyt w Anglii bardzo się Scheiblerowi przydał. To na zielonych wyspach poznał mechaniczne wrzeciona i krosna, których nie wolno było wówczas wywozić na kontynent. Fabryka piła wodę z „Quellen" — źródeł. (Park Źródliska). Tuż obok, przy rynku, rozparł się również pałac Scheiblera.

Dlaczego ci Scheiblerzy, Geyerzy, Poznańscy czy Kohny stawiali swe monstrualne siedziby godne cezarów i dożów przy fabrycznych bramach?

Niebotyczna pewność siebie, wiara w niezmienność rzeczy pod słońcem? Czy może omyłka w rachunku? Po harówce do późnego wieczora robotnicy wychodzili z fabryk na ulicę. Ledwie wypełzli z fabrycznej bramy, zaraz ich zmęczony wzrok padał na jasny, chełpliwy, arogancki pałac. Gmach mrużył oczy kandelabrami w oknach, dławił się od blasku, rozbrzmiewał śmiechem kobiet, muzyką. Co wtedy myślały robotnice w rozpaczliwie długich chustach na głowie? Nic? — To niemożliwe. Nie mogły nic nie myśleć, jeśli nawet nie słyszały o Marksie ani jednego słowa. Więc może odruch niechęci, buntu, jakieś przekleństwo?

Kto wie czy to nie przed tymi pałacami zaczął się gromadzić kapitał robotniczego gniewu.

Czemuż ci fabrykanci nie budowali swych siedzib z daleka od fabryki, jak to robili bardziej doświadczeni przedsiębiorcy na Zachodzie? To osobny temat, godny socjologów, a może psychiatrów... Moim tematem jest Scheibler, który zaczął od fabryczki przy Wodnym Rynku. Był fabrykantem, ale też giełdziarzem, ryzykantem, kupcem, imał się wszystkiego, co pachniało złotem. Zwietrzył dobre dla siebie wiatry w 1860 roku, w przeddzień amerykańskiej wojny secesyjnej. Zwiózł wtedy tyle bawełny o jasnych odcieniach, najwartościowszej, ile mógł jej pomieścić w składnicach. Wojna trwała kilka lat, przez ten czas fabryki daremnie wołały o bawełnę znad Missisipi. Gdy inni padali na nos, Scheibler zbierał żniwo, on miał bawełnę. Jeśli bawełna, jak dziś nafta, była wówczas królem, to królem bawełny był Scheibler.

Scheibler obrósł i ruszył żwawo na podbój nowych włości.

W jego zakładach wirowało już 80 tysięcy wrzecion, stukało kilka tysięcy krosien. Scheibler stał się niekoronowanym władcą, miał swój dwór, sługi, miał własną straż i karoce. Sam odmierzał grządki w swym królestwie pod wciąż nowe warsztaty, domki familijne, szkoły, szpital, straż pożarną, gazownię... Jeśli to była dżungla, to jeden w niej panował władca. W dżungli też obowiązują prawa, ustanawiał je Scheibler. Miał nawet własną kolej.

Oglądałem plan Łodzi z końca ubiegłego wieku. Kolej oznaczono na nim czarną krechą, i ten napis — „żelieznaja daroga Scheiblera". Fabrykancka kolej rozcinała miasto jak nożem na dwie połowy. Biegła szerokim łukiem od ulicy Bocznej aż hen do Przejazdu, stamtąd skręcała na Dworzec Fabryczny. To na tym „fabrycznym" przecież dworcu rozłożyły się bocznice scheiblerowskich fabryk. Bądźmy sprawiedliwi, to magnaci Łodzi wystarali się o kolej dla miasta.

W 1856 roku Aleksander II car Wszechrosji, król Polski, wielki książę Finlandii... osobnym ukazem zezwolił miłościwie na — „połączenie Łodzi z linią kolejową warszawsko-wiedeńską, poprzez Rzgów i Rokiciny". Scheibler potraktował ten ukaz jako osobisty triumf. Trzeba pracować, szanowni grażdanie, trzeba ciężko pracować, by wspiąć się o ileś tam szczebli na społecznej drabinie

Nie przypuszczał Scheibler, że pozycja na takiej drabinie zależy w gruncie rzeczy od tego, który koniec drabiny zostanie przystawiony do ziemi.

Prawda. Na Scheiblera pracowało 7 tysięcy polskich robotników. To ich rękami Scheibler rozszerzał i umacniał swe władanie. Stworzył miasto w mieście. Bił nawet własny pieniądz w formie bonów, które realizowano w jego sklepach. Obsesją Scheiblera był złoty rubel, namiętnością władza. Nietzscheańska „Wille zur Macht" — dążenie do władzy — ucieleśniona w łódzkim fabrykancie. Bądźmy wyrozumiali. Czyż można oskarżać bankiera o to, że myśli dużo o pieniądzu? Toż to jego zawód!

Karol Scheibler — polski król bawełny spoczął w cudownym mauzoleum na ewangelickim cmentarzu. Mauzoleum jest zabytkiem, znajduje się pod ochroną. W jego wnętrzu zachowały się już tylko dwie, rozbite zresztą trumny. Zamurowano je. Mauzoleum utrzymane w neogotyku, jest dziełem słynnej pary architektów — Lilpopa i Dziekońskiego. Kiedy zwłoki Scheiblera wprowadzano do cmentarnej kaplicy, w jego przędzalniach wirowało już 200 tysięcy wrzecion.

W ogóle zdarzył się taki rok w dziejach Łodzi, w którym przybyło miastu 240 domów i... 21 fabryk.

Czas wszystko zaciera, dlatego zapraszam na niedzielny spacer wzdłuż Przędzalnianej, 8-go Marca, Milionowej, Gołębiej, Tylnej... Przyjrzyjcie się murom scheiblerowskich fabryk. Postoją jeszcze długo, są masywne, to fabryki potwory, pełne dziwnej ekspresji, siły. Budowano je na kształt fortec i wsuwano do środka maszyny. A także ludzi. Przyjrzyjcie się scheiblerowskim „famułom" — domkom familijnym. Są bezbarwne, bezosobowe, nie mają twarzy, ani duszy. Mają za to pokój z kuchnią. Przyjrzyjcie się scheiblerowskim pałacom, siedzibie jego ekscelencji, von Herbsta, rzeczywistego radcy stanu. To von Herbst poślubił uroczą Mathildę z domu Scheibler i zbudował pałac, w którym jeden 3-metrowy piec w stylu rokoko jest więcej wart, niż jeden cały domek familijny na Przędzalnianej.

Przyjrzyjcie się Księżemu Młynowi, wciąż stoi i trwa, chociaż dni jego, jak się zdaje, są już policzone.

Tutaj panował „wielki" Karol Scheibler, udzielny pan, założyciel potężnego rodu, Medyceusz? Tak, był łódzkim Medyceuszem, tak samo bezwzględnym, brutalnym, tak samo nieprzebierającym w środkach i dumnym jak owe szaleńcze rodziny włoskiego renesansu. Scheibler pozostawił po sobie niebywałą rzadkość. Dziewiętnastowieczne miasto fabryczne, które dziwnym trafem, prawie w nienaruszalnym stanie dochowało się po dziś dzień. W rejonie zamkniętym ulicami Przędzalnianą, Tylną, 8-go Marca... dominuje swoista architektura, wszystko jest tu inne, odrębne, oryginalne. Byłoby niepowetowaną stratą dla Łodzi, gdyby Księżego Młyna zabrakło.

Pewnie, arterie komunikacyjne, które mają połączyć nowe dzielnice mieszkaniowe Dąbrowa I i II ze śródmieściem są życiową koniecznością. Zmiotą po drodze niejeden stary budynek. Byłoby też nonsensem upierać się przy ordynarnych „famułach" na placu Zwycięstwa (Wodny Rynek). Niechaj za nimi wyrasta dom związków zawodowych, dwukrotnie większy od Domu Kultury na Traugutta. Niech obok niego ułożą się wieńcem biurowce, domy handlowe. Plany są gotowe, zatwierdzone, tylko im przyklasnąć.

Trudno jednak pogodzić się z planami, które mają unicestwić fabryczne miasteczko, położone po części w dolinie Jasieni.

Przędzalniana, Gołębia, Zbiorcza... mają tu stanąć wysokościowce, biura, dzielnice mieszkaniowe. Projektanci w Miejskim Biurze Urbanistycznym już dzisiaj przygotowują cyrklem na śnieżnobiałych kartonach wyrok na Księży Młyn. Gdy skończą, ktoś wyrok podpisze i stanie się, co stać się nie powinno. Nie ma czego żałować bo to wyzysk, kapitalizm, rudery, rynsztoki? Proszę państwa, Kraków ma Barbakan, Gdańsk żurawie, Łódź ma „famuły". Te rudery są zabytkiem, to kawał prawdy o narodzinach przemysłu w Polsce. Za sto lat z czerwonych murów fabryk emanować będzie grozą. Być może, zwiedzający dostaną wypieków, będą patrzeć rozszerzonym wzrokiem na makabrę z odległych lat. Nie szkodzi, niech patrzą, niech to co zobaczą, wryje się im w pamięć. Tak było, obywatele. To nie bajka o żelaznym wilku. Tu straszył Scheibler, niechaj straszy nadal... Tu powstawał proletariat, tu biło serce tej Łodzi, która nam dziś rośnie wieżowcami.

Chcesz wiedzieć jak to było? Doskonale. Przyjeżdżaj do Łodzi, zapytaj o Przędzalnianą, o Księży Młyn. To pomnik epoki, z której jesteśmy. Więc rzeźbiąc nową Łódź w cegle, kamieniu, cemencie nie rozbijajmy w proch i pył mrocznych, posępnych, scheiblerowskich zaułków. To jest nasze miasto, taką była Łódź, jesteśmy jej synami. Jedna wycieczka w te zaułki będzie bardziej pouczająca, niż tuzin nudnych wykładów z ekonomii politycznej. Przesuwając akcent na dzień jutrzejszy, nie rujnujmy przeszłości. Bo mało jest wart naród, który nie ma zmysłu do uszanowania drogi, którą przebył.

Ten Młyn Księży czy diabelski pełen jest zabytków, cały jest zabytkiem. Głosuję za nim, bronię go.

JAN BĄBIŃSKI

BERNARD SZTAJNERT

KŁOPOTY JEDNEGO z SĘDZIÓW

KONRAD FREJDLICH
ur. 26. XI. 1940 r.
Otrzymał nagrody poetyckie na Festiwalu Młodej Poezji w Poznaniu i Festiwalu Kulturalnym Studentów w Gdańsku.
Wydał tom wierszy „alert", powieść „Sędzia" jest jego debiutem prozatorskim.

Wszyscy jesteśmy sędziami — ściślej wszyscy bywamy sędziami — to oczywiste, jeżeli: „...sędzia to nie profesja. To raczej stan psychiki...". Wszyscy sądzimy bliźnich i sądzimy sprawę, wydajemy wyroki, a nawet często doglądamy wykonania wyroków. Bohater Konrada Frejdlicha jako dziecko bawi się w sędziego — może skłania go do tego bliskość i okazałość gmachu sądu, może potrzeba zbadania winy ojca — ojca pobłażliwie nazywanego Michałem — ojca — mężczyzny, do którego przychodziły listy od nieznanych kobiet. Chłopiec zakłada na własny użytek kartotekę tych, których zamierza sądzić, których sprawy zamierza prowadzić. Jest to więc zabawa nie tylko w takiego „powszechnego sędziego", którym bywa każdy z ludzi — jest to zabawa także w sędziego profesjonalnego, w todze, z orłem na piersiach. Chłopca fascynuje metalowy wizerunek sędziowskiego orła. Przynosi nawet mięso do córki sędziego, ale królewski ptak nie przyjmuje ofiary i to od chłopca, dla którego świat przedmiotów żyje: „...Lubiłem blaty porysowane grubymi słojami drzewa, miały jakby własne twarze, obserwując ich gry mas mogłem we właściwej chwili skontrolować swoje zachowanie...". Godło sędziowskie gardzi więc prawami zabawy i dla chłopca powoli w miarę upływu lat zabawa zmienia się w pracę, w studia prawnicze. W tym okresie chłopiec jeszcze nie wie, że wszyscy ludzie bywają sędziami. Wydaje mu się, że ludzie dzielą się na sędziów i na oskarżonych. Oczywiście, obok sędziów są jeszcze prokuratorzy, ale prokurator dla chłopca to także sędzia — sędzia specjalnie groźny. Ofiarami sędziów są oskarżeni, to jest ci, którzy muszą się „poddać normom gotowym, które ustanowili inni...". Poczucie bezpieczeństwa wynikające z przynależności do grupy sądzących, a więc jak myśli chłopiec, niezależnych, jest zachwiane, niepełne. Chłopiec pragnie niezależności kompletnej. Dręczą go różne, niejasne różnice pomiędzy prokuratorem a sędzią — „...wcielałem się raz w oskarżyciela, a za chwilę nakładałem togę sędziego..." Są zatem jakieś zależności „niezależnych" ale lepiej o nich nie myśleć. Zwłaszcza, że po woli chłopiec odkrywa tych, którzy bywają sędziami, to znaczy wszystkich otaczających go ludzi. On, który prowadzi kartotekę podsądnych, sam jest sądzony przez matkę przez Marzennę, przez wuja, przez męża bufetowej, i oto przed ich wyrokiem nie ma obrony. Nikt z tych ludzi nie prowadził kartoteki swoich oskarżonych, a przecież osądzali i wydawali wyroki pośpiesznie, groźnie i śmiesznie jak kobieta, która oskarża chłopca o wykradanie jajek jej kurom. Ich oskarżenia i wyroki są pośpieszne, nietrwałe, stawiane i wydawane mimochodem, ludzie wydają się tyle tylko warci, co przedmioty, a nawet mniej niż przedmioty trwali. „...Marzenna istniała grubo wcześniej, nim nastąpił jej koniec pod lodem. Pozbyłem się jej po prostu i naturalnie, jak przedmiotu, który stracił swoją użyteczność, a nie ma go co żałować, bo służył dostatecznie długo..." „...Rozkładała się w ludzkiej pamięci, wolniej co prawda niż w ziemi, ale za to doszczętniej..." Oto nadmiernie groźne, przeraźliwe wykonanie wyroku nad pierwszą kochanką chłopca — dziewczyną, której całą winą był śmiech. Oskarżeni są słabi, a wykonawcy wyroków zbyt gorliwi i okrutniejsi od sędziów. Sądzić należy zatem oględnie, wyroki wydawać łagodne. Ten, który się bawił w sędziego, kończy jako obrońca winowajców. A przecież i tym nie zdoła odkupić lat zabawy w sędziego. Zabawa ta była bowiem winą. Dlatego połączyli się przeciw niemu profesjonalni sędziowie oraz oskarżeni, oskarżeni, którzy oczywiście, bywali sędziami. Dlatego K. Frejdlich wprowadza chłopca na sale profesjonalnego sądu i każe mu usiąść na ławie oskarżonych o zbrodnie, gdzie przyjmuje „odpowiedzialność za całość, za wszystko, bo wiedziałem, że nie da się dokładnie ustalić przypadającej na mnie części..." i oto chłopiec staje się profesjonalnym oskarżonym, w przeciwieństwie do tych, którzy bywają tylko oskarżonymi — bowiem ci, którzy bywają sędziami muszą także bywać oskarżonymi.

Powieść Freidlicha nie dzieli się na rozdziały — jest gorącym strumieniem słów o o postaci fragmentu olbrzymiego listu z więzienia. Autor gospodaruje czasem z pozorną dowolnością — — pozorną, gdyż jego bieg wyznacza nie chronologia wydarzeń ale ich rozrost moralny od zabawy do winy, od niewinności do gotowości przyjęcia winy za czyn popełniony przez innych. Rytm zegarów i porządek kalendarzy ustępuje zasa-

Dalszy ciąg na str. 6

Magnes dla wszystkich elegantek, czyli pawilon „łódzki". Tutaj wystawiają swoje towary 3 łódzkie centrale handlu zagranicznego: „Cetebe" — tkaniny, „Confexim" — odzież i „Skórimpex" — buty i galanteria skórzana.

Ogólny widok terenów targowych

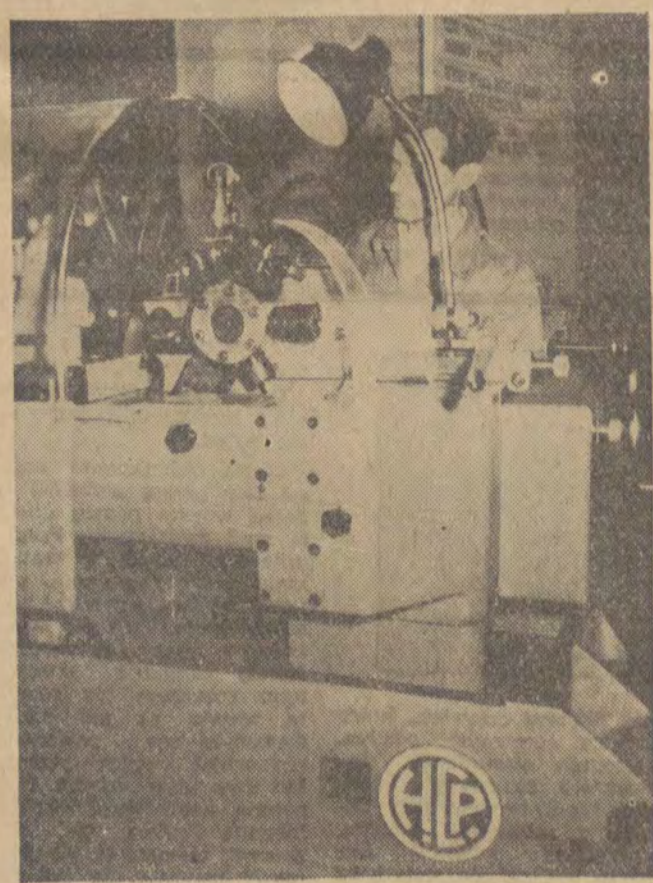

Poznańskie Targi dawno już straciły charakter „sweterkowy" tzn., że zdecydowaną większość stanowią maszyny i urządzenia. W tym wyścigu techniki Polska nie zostaje w tyle.

MISTER TWISTER RUSZA w POLSKĘ

ŁÓDŹ A ŚWIAT

Nie należy tego łączyć ze znanym problemem „Słoń, a sprawa polska". Rzecz jest naprawdę poważna. Z czego znaną jest Łódź w świecie?

Przez 3 łódzkie centrale handlu zagranicznego:

„CETEBE" — za jej pośrednictwem sprzedawaliśmy w roku 1962 różne tekstylia i wyroby włókiennicze do 94 krajów i zarobiliśmy na tym 68 milionów dolarów. Stanowiło to 2,4 proc. ogólnego eksportu Polski w tym roku.

„CONFEXIM" — najmłodsza placówka, która powstała dopiero pod koniec ubiegłego roku. Zajmuje się eksportem wyrobów polskiego przemysłu odzieżowego. W ciągu 5 miesięcy 1963 roku zarobiła na tym około 100 mln. złotych dewizowych.

„SKÓRIMPEX" — wszystko co robimy ze skóry, gumy oraz skóry futerkowe. Rok ubiegły zamknęła eksportem wartości 150 mln. zł dewizowych. Ciekawostka: polską galanterię skórzaną kupuje jeden z największych paryskich magazynów — „Galeries Lafayett'e".

Dalszy ciąg ze str. 1

Danię, Finlandię, Francję, Grecję, Hiszpanię, Holandię, Jugosławię, Lichtenstein, Monaco, NRD, NRF, Norwegię, Portugalię, Rumunię, Szwajcarię, Szwecję, Turcję, Węgry, Wielką Brytanię, Włochy, ZSRR.

Kraje pozaeuropejskie: Algieria, Australia, Birma, Brazylia, Chile, Ekwador, Ghana, Haiti, India, Irak, Izrael, Japonia, Kanada, Kenia, Kolumbia, Kuba, Liban, Madagaskar, Malaje, Maroko, Mongolia, Nigeria, Nowa Zelandia, Pakistan, Peru, Singapur, Stany Zjednoczone, Tahiti, Tanganika, Togo, Tunezja, Uganda, Unia Południowo-Afrykańska, Urugwaj.

ABECADŁO TARGOWE

A — jak **Austria.** Na tym przykładzie najlepiej widać jaką ewolucję przeszły MTP. Austria była tradycyjnym wystawcą różnych — pięknych bo pięknych, ale w końcu tylko — ciuchów. W tym roku dominują maszyny i precyzyjna aparatura. Wśród nich — skomplikowane łożyska kulkowe i toczne.

B — czyli **Belgia.** To znowu znak czasu. Na stoiskach można obejrzeć zestaw aparatury dla fizyki nuklearnej i przyrządy radiografii przemysłowej. Coś dla pań: Belgia dostarcza nam igieł do maszyn.

C — **Czechosłowacja.** Kraj, który jako jeden z nielicznych — obok NRD i ZSRR — ma coś do powiedzenia w poznańskim, międzynarodowym salonie samochodów osobowych. Ale mimo wszystko — gdy się patrzy na modele „Fiata" łza się w oku kręci. „Warszawo" nasza „Warszawo"...

D — jak duńskie urządzenie do automatycznego pilotowania samolotów. Obserwowanie jego działania — niestety na ziemi — to duża frajda dla wycieczkowiczów.

F — **Finlandia.** Aż zazdrość bierze patrzeć na to bogactwo wyrobów celulozowych w dobie krajowego deficytu drzewnego. A mówili starzy Polacy: Nie będzie nas — będzie las...

G — **Grenlandii** nie ma na MTP. Białe niedźwiedzie źle znoszą poznańskie upały.

H — jak **Hiszpania.** Dlaczego Franco musi mieć akurat „Malagę" — nie rozumiem. Do tego dochodzą jeszcze owoce cytrusowe. Cytryn na MTP nie sprzedają...

I — **Izrael.** Przywykliśmy do tego, że nad Jordanem rosną tylko pomarańcze. Ostatnio także opony samochodowe „Samson" i sztuczne zęby. O lodówkach nie mówię, należy je zobaczyć. Podobno nie trzeba się na nie zapisywać na pół roku naprzód.

J — więc **Japonia.** Zamiast najmikroskopijniejszych na świecie aparatów fotograficznych — tym razem ostatni „wrzask" techniki mikroskopowej. A swoją drogą: holenderski „Philips" skonstruował magnetofon, a Japończycy tak go udoskonalili, że Holendrzy musieli od nich... kupić patent. Główki pracują w kraju „kwitnącej wiśni".

K — jak **Kanada.** Królestwo wystawowe gospodyń domowych. Pralki, wirówki, lodówki, samowary i wszystko co człowiek wymyślił dla kobiety, by mężczyzna miał co w domu reperować.

L — **Liban.** Tylko tyle, że jeden z kupców libańskich jest podobno najpoważniejszym odbiorcą tkanin łódzkich.

M — jak **Mongolia.** Śliczne wyroby ze srebra i bogata kolekcja futer. Z tego względu — raczej dla pań zwiedzanie niewskazane. Może drogo kosztować.

N — a raczej 2 x N, bo nie sposób ominąć NRD lub NRF. W tym pierwszym pawilonie coś dla ciała i ucha: piękne wyroby włókiennicze z „dederonu", „malimo" i „malipolu", oraz instrumenty dla kompletnej orkiestry. W drugim — uśmiechnięta twarz generalnego dyrektora koncernu KRUPPA — p. Bertholda Beitra. Do sprzedaży „na pęczki" — stalownie, huty, mosty. Zamówienie kierować: A. Krupp. Willa „Hügel".

O — na tę literę nic się nie zaczyna więc od razu —

P: pan Salazar zezwolił przywieźć do Polski sardynki, konserwy rybne i korek. Dla smakoszy — ciekawe.

Rumunia. Wstęp dla mężczyzn w sile wieku raczej niewskazany. Podobno ostatnio rumuńskie spirytualia i wina zgarniają najwięcej złotych medali na wystawach międzynarodowych. Chyba tylko pod nieobecność „Polish Vodka".

S — więc **Szwajcaria.** Radzę obejrzeć nie tylko zegarmistrzom. 100 odmian zegarków. Czegoś podobnego do czasów „Błonia" — nie było.

Turcja. Już Kara Mustafa... pokazywał Polakom bogate tkaniny, dywany, tytoń i wyroby złotnicze. Ale czy dobrze na tym wyszedł?

U — czyli po naszemu Stany Zjednoczone: wszystko pod hasłem: „Nowoczesna technika ułatwia życie". Samolot, samochody, aparat fotograficzny — gotowe zdjęcie w ciągu 10 sekund, sprzęt wędkarski, campingowy. Piękne, ale nie dla wszystkich.

W — **Wielka Brytania.** Zalecam dla włókniarzy. Maszyny tekstylne jakie tylko w Anglii umieją wymyślić. Trochę telewizorów — ale dobrych. Duży portret Elżbiety II. Nic specjalnego. Boże chroń króla...

Z — **ZSRR:** wszystko pod znakiem techniki. Więc samochody — od mikrobusów po wielotonowe, aparatura elektroniczna, dużo radioaparatów i telewizorów, lodówek. Dla smakoszów — wyborna broń myśliwska na tle ewentualnych trofeów. Takie futra mogą się „rodzić" tylko na Syberii...

BUSINESS IS BUSINESS

Pomówmy więc o interesach. W roku ubiegłym obroty polskiego handlu zagranicznego wynosiły 14.126 milionów zł dewizowych. Wyjaśniam, że 1 zł dewizowy równa się 0,25 dolara. Z tej kwoty na eksport przypadało 6 584 mln zł dewizowych. Do krajów socjalistycznych sprzedaliśmy różnych towarów za 4 137 mln zł dewizowych, a do państw kapitalistycznych za 2 447 mln zł dewizowych.

Poważny wpływ na kształtowanie się naszego handlu zagranicznego mają Międzynarodowe Targi Poznańskie, a ich cechą jest stałe zwiększanie się wartości umów handlowych podpisanych na MTP. W stosunku do roku 1958, wartość transakcji zawartych na MTP w roku 1962 osiągnęła 277,8 proc.

Urządzenie targów kosztuje. Np. w roku 1955 wydano na ten cel około 65 mln. złotych. Ale już w rok później MTP przyniosły organizatorom 3.454 tys. czystego dochodu, w roku 1957 — już 5.531 tys., w roku 1958 — około 10 milionów i 1.600 tysięcy dolarów. Dochody te płyną z różnych opłat, które świadczą wystawcy oraz z turystyki. W roku 1955 przyjechało do Poznania 2 142 turystów, w 1956 roku — już 2 700, w 1958 — ponad 4 500. W tym roku aż 10 tysięcy obcokrajowców odwiedzi targowy Poznań i zostawi w nim dewizy. Nie dziwcie się, że każdego z gości otacza się tam serdeczną opieką. Nawet czasami zbyt gorliwą. Autentyczny wypadek: spacerującego po peronie dworca w Poznaniu kolorowego przybysza, jeden z mieszkańców grodu nad Wartą odstawił „ciupasem" — nie bacząc na protesty — do recepcji dla gości zagranicznych, która mieści się w centrum miasta. Po wyjaśnieniu sprawy — trzeba go było przeprosić i odwieźć z powrotem na dworzec. „Zagranicznik" był tylko przejazdem w Polsce, nie przyjechał na Targi, a w Poznaniu czekał... na kolejowe połączenie do Berlina!

Krzysztof POGORZELEC

Skuter „Osa". Eksportujemy go w wersji tropikalnej do Indii. Budujemy tam zakłady montujące te pojazdy.

KRYSTYNA WOJTASIK

ZGUBIONO SZEKSPIRA!

Namiętności nie były namiętnościami i wyrażały się tylko krzykiem lub fałszywym gestem, wielka miłość stała się więc odrobiną śmiesznia i trudno było uwierzyć w jej niszczycielską siłę; królewskość utraciła wspaniałość i grozę a słowa nie potrafiły być piękne i niebezpieczne, takie, które niosą zgubę lub śmierć, uderzają drwiną jak sztyletem, i są w stanie tworzyć dzieje ludzkości. Pozostał nudny historyczny melodramat pt. „Antoniusz i Kleopatra". Zgubiono gdzieś Szekspira.

Nie ma bowiem tragedii o Antoniuszu i Kleopatrze bez Antoniusza i Kleopatry. Tymczasem w Teatrze im. Jaracza był tylko Cezar. Młodzieniec wytworny i chłodny, którego szybko znikającego uśmiechu należało się równie bać, jak z łagodnym spokojem wypowiadanych słów. Krzysztof Chamiec rozegrał swą rolę ciekawie, „nowocześnie" czyli z dystansem, całkowicie panując nad tekstem, czego niestety, nie można powiedzieć o jego współpartnerach, których tekst sztuki unosił, a chwilami zatapiał jak wezbrane wody rzeki.

Byli bezradni wobec finezji i zawartości treściowej szekspirowskich słów i dlatego to, co mówili, to były tylko słowa, słowa, słowa. I dlatego, o ile Cezar był groźnym wrogiem Antoniusza, o tyle Antoni sz nie potrafił być wrogiem Cezara nie tylko dlatego, że obezwładniała go miłość do Kleopatry ale przede wszystkim dlatego, że okazał się nieszkodliwym krzykaczem. Na domiar złego Z. Łobodziński ma złą dykcję, zacierał więc tekst roli mówiąc bardzo szybko dla skontrastowania powolnej narracji Oktawiana. Kleopatra również nie potrafiła być wielka ani jako królowa ani jako człowiek. Wykonując wciąż te same gesty i stosując tę samą mimikę Barbara Jaklicz umierała na złość Krzysztofowi Chamcowi. Była tylko małą histeryczką.

Ponieważ w większości zawiódł i „drugi plan", tak ogromnie ważny w sztukach Szekspira, wynika stąd, że reżyser zbytnio zaufał aktorom, wyłącznie na nich opierając ciężar spektaklu i rezygnując zupełnie z elementów widowiskowych, które w tym wypadku może zdołałyby w pewnym stopniu uratować sytuację. Jakiś akcent złota lub purpury, coś z wschodniego, egzotycznego przepychu, przynajmniej w scenach w pałacu Kleopatry, niewątpliwie dałyby walor estetyczny, którego tak bardzo tu brak. Ostatecznie brudnoniebieskie kotary nie są atrakcyjnym tłem i przypominają nieco okolicznościową akademię. Reżyser zrezygnował również prawie całkowicie z operowania światłami i ograniczył do minimum efekty akustyczne. Było więc szaro i ubogo. Może wpłynął na tę koncepcję reżyserską spektakl „Juliusza Cezara" w Teatrze Nowym, ale „Juliusz Cezar" to sztuka męska i surowa, prawie bez kobiet, i rozgrywa się tylko w Rzymie (nasuwają się tu jeszcze podejrzenia co do reminiscencji z innego szekspirowskiego spektaklu: taniec uczestników uczty na galerze Pompejusza przypomina stąpanie Kalibana). Poza tym Dejmek miał do dyspozycji znakomity zespół aktorski, który potrafi wypełnić pustą scenę. Jeden Oktawian w Teatrze im. Jaracza nie wystarczył.

Teatr im. Jaracza „Antoniusz i Kleopatra" Williama Szekspira w przekładzie Romana Brandstaettera. Reżyseria i adaptacja tekstu Józef Wyszomirski, scenografia Ewa Soboltowa, muzyka Wojciech Kilar.

informacje i zaczepki

Zbliża się Festiwal Piosenki w Sopocie. Miło nam donieść, że zarówno wśród wykonawców jak i wśród autorów tekstów i melodii spotkamy łodzian. Otóż uczestniczką Festiwalu będzie młoda, łódzka piosenkarka Lena Bacciarelli. Z wykonywanych utworów doczekały się oficjalnego uznania kiedyś szalenie popularne „Parasolki" Słowikowskiego i Hertla. Polscy piosenkarze śpiewać będą także piosenki Edwarda Żuka do słów Tadeusza Giegiera i Adama Markiewicza, do słów Jerzego Gwoździa.

●

Dziesięć lat minęło od chwili kiedy łódzka Akademia Medyczna wypuściła w świat swoich pierwszych absolwentów. Niedawno gościła w Łodzi na uroczystościach jubileuszowych ta duża ponad dwustuosobowa grupa lekarzy różnych specjalności pracujących dziś we wszystkich prawie zakątkach kraju.

●

Jeszcze o piosence. Na centralnych eliminacjach konkursu dla najlepszych wykonawców piosenki radzieckiej, czołowe miejsca zajęły dwie łódzkie robotnice z ZPW im. Świerczewskiego — Wala i Lidia Dubrowin. Laureatki wezmą udział w wycieczce „Pociągiem przyjaźni" do Związku Radzieckiego.

●

W ubiegłym roku wytknęliśmy organizatorom Dni Łowicza, że bez potrzeby i co ważniejsze bez możliwości zapewnienia atrakcyjnego programu przedłużyli uroczystości do trzech dni. W roku bieżącym Dni były tylko dwa, ale za to program uroczystości przedstawiał się atrakcyjnie, był bogaty, dawał możliwości wyboru i nie pozwalał się nudzić. Na zakończenie wystąpił zespół z Czechosłowacji oklaskiwany serdecznie przez Łowiczaków.

J. W.

TELEwizja

GORZEJ NIŻ MŁOT, GORZEJ NIŻ KOWADŁO

Kiedy w naszym telewizyjnym tygodniu zabraknie teatru, lub kiedy liczba emitowanych w ciągu tygodnia filmów jest mała, program telewizyjny wydaje się niezwykle ubogi i niepełny jak by coś istotnego zostało opuszczone.

Do tego sprowadza się zasadniczy sens artykułu Lecha Pijanowskiego, zamieszczonego w nowym — pierwszym — numerze „Kultury" pod znamiennym tytułem: „Telewizja między filmem a teatrem". Pijanowski powiada na początku: „Gdy myślę o ogólnym kształcie programu TV dzisiaj na tle tego, co było dwa, cztery i sześć lat temu, widzę niebezpieczeństwo: program znalazł się między groźnym młotem — teatrem, i niemniej groźnym kowadłem — filmem. Ciśnienie młotu na kowadło jest wielkie, towarzyszy mu równe, wprost przeciwnie skierowane ciśnienie kowadła na młot — i między filmem a teatrem jest coraz mniej miejsca na rozwój autentycznej, najbardziej potrzebnej telewizji".

Każdy krytyk telewizyjny, jak również każdy zdrowo myślący telewidz, a wreszcie nawet każdy twórca telewizyjny powinien zgodzić się z powyższym — bardzo ciężkim zresztą, lecz słusznie postawionym zarzutem. Tak wygląda, niestety, smutna prawda. Charakterystycznym przejawem jej jest chociażby krytyka telewizyjna, która zwykła uważać za najbardziej wartościowe pozycje programu TV właśnie teatralne spektakle. Wszelkie spory, wszelkie kontrowersje, polemiki, dyskusje w przeważającej części dotyczą tylko i wyłącznie kwestii teatru telewizyjnego, audycje publicystyczne, programy rozrywkowe kwituje się zazwyczaj drobnymi wzmiankami. Kiedy mówi się o tzw. „telewizyjności", poszukuje jej kryteriów to przede wszystkim w oparciu o teatr telewizyjny, a nie na przykład w oparciu o publicystykę telewizyjną.

Również i w odczuciu telewidza program telewizyjny sprowadza się głównie do teatru lub filmu. Film — wykorzystywany jest w telewizji jak się zdaje nazbyt często. Proszę policzyć wszystkie filmy fabularne emitowane w ciągu jednego tygodnia, dodać do tego wszystkie serie filmowe, a stwierdzicie bez trudu, że i teatr, a zwłaszcza film, zajmują w telewizji nieproporcjonalnie wiele miejsca w stosunku do reszty audycji. Oczywiście, i film i teatr jest potrzebny; nieprawidłowość polega zaś na tym, że stanowią one podstawę programu telewizyjnego, chociaż powinny być jednymi z elementów tego programu.

Sedno zagadnienia polega właśnie na tym, co kapitalnie ujmuje Pijanowski, mówiąc: „I krytyka telewizyjna i większość twórczości jest także przytłoczona przyzwyczajeniem, zachodzą co prawda zmiany w treści i formie poszczególnych „okienek", są to jednak na ogół zmiany ilościowe, chodzi zaś o więcej: o nagłą jakość, o próby konfrontacji poprzez telewizję współczesnego Polaka z nim samym, z całą złożoną sferą dramatów rzeczywistych, moralnych, społecznych, produkcyjnych, kulturalnych i wszelkich innych, których istnienie telewizja, owszem, kwituje powtarzając gazetowe informacje, ale na własną rękę nie bada sobie dostępnymi tylko sposobami w żywej materii codzienności, zbyt rzadko prowokuje do myślenia, nie skłania do protestowania przeciwko niczemu, nie ujawnia sprzeczności współczesnego życia, brak jej, jako całości, ostrości i rozsądnej odwagi".

Należałoby jednak dodać jeszcze do tego, co mówi Pijanowski, że polityka programowa telewizji jest chaotyczna, nieskoordynowana, nie przystosowana do potrzeb codziennego życia, brakuje jej ścisłych wiązań pomiędzy poszczególnymi typami audycji, ich logicznych ciągów, uzupełnień. Program telewizyjny sprawia wrażenie robionego przypadkowo, nieadekwatnego w stosunku do rzeczywistości, łatanego, i lepionego często niechlujnie, nieporządnie, bez określonej, przemyślanej koncepcji.

Pozornie wszystko wydaje się być w porządku. Wielość tytułów audycji, ich pozorne zróżnicowanie tematyczne, treściowe i formalne, każą przypuszczać, że każda dziedzina życia współczesnego jest ujęta telewizyjnym programem. W telewizji znaleźć można wszystkie gatunki audycji, dobry Boże, nawet pomyślano o nauce przyrządzania kiełbasy po polsku. Więc — wszystko niby jest: i magazyny gospodarcze, polityczne i kulturalne. A przecież nawet najbardziej tolerancyjny telewidz musi odczuwać w tym szeroko zakrojonym programie wiele poważnych luk, wiele istotnych braków. Na przykład ja, Kowalski, oglądając program, czuję się wciąż głodny. To tak, jakby zaproszono mnie na wspaniałe przyjęcie, z bogato zastawionym stołem, ale zastawionym potrawami, które są sztuczne. Powtarza się legenda o królu Midasie: telewizja karze nas audycjami pięknie uporządkowanymi, gładkimi i czyściutkimi. Pokazuje nam obrazki, ładnie wycieniowane, ponumerowane, — patrzcie i zachwycajcie się, dobrzy telewidzowie. Ale w tych telewizyjnych obrazkach brakuje najważniejszego: treści. Owszem, treść jest, ale również wygładzona, czyściutka i porządna. Nie potrzeba nad nią myśleć, ani się zastanawiać. Klasycznym przykładem treści wypranej z ...treści są cykliczne audycje poświęcone problematyce wiejskiej „Niedzielna Biesiada". Nie zachodzi tutaj potrzeba analizy tych audycji; ci nieliczni, którzy jeszcze starają się oglądać „Niedzielną Biesiadę" wiedzą doskonale o co mi chodzi, a ci, którzy już przestali oglądać, też wiedzą.

Dlaczego tak jest? Mnie się wydaje, że dlatego, ponieważ telewizję opanował wielki schemat. Istnieje schemat na publicystykę, schemat na rozrywkę, wszystko podlega ogranemu, powtarzanemu schematowi. I dopóki ten schemat będzie panował w telewizji, dotąd nie znajdzie się w niej miejsce na program konfliktowy, dotykający sedna spraw współczesnego, codziennego życia. Bo życie nie mieści się w schemacie, że kowadłem i młotem jest nie tyle film i teatr, lecz właśnie ogromnie niebezpieczny, grożący telewizji zupełnym skostnieniem schemat.

KOWALSKI

KŁOPOTY JEDNEGO Z SĘDZIÓW

Dalszy ciąg

ze str. 6

dom klasyfikacji faktów, wśród których niemałą grupę stanowią fakty wewnętrzne — przeżycia, według zasad moralnych i moralno-poznawczych. Konrad Frejdlich okazał się dobrym gospodarzem na sto osiemdziesięciostronicowym polu. Przekonywająco wykazał i dowiódł, że zabawa w sędziego należy do zabaw, które powinniśmy zakazać dzieciom. Świat wewnętrznych i zewnętrznych faktów zetknął poezją geometrycznych, oczyszczonych kształtów przedmiotów i ruchów fizykalnych. Poezja tej prozy wolna jest od kultu piękna widoków — obchodzą ją same widziane rzeczy, ich ruch. Frejdlich dobrze wyczuł specyfikę rodzaju — powieści-listu z więzienia — i dla podkreślenia jej odśrodkowego uczuciowego rozwoju przełamał bariery rozdziałów, jednocześnie swobodnie władając przypływem i odpływem fal czasu konwencjonalnego i czasu powieści. Tyle chcę powiedzieć — ja także bywam sędzią, ale stanowczo postanowiłem unikać zabawy w sędziego i gotów jestem podjąć się obrony powyższych twierdzeń przed każdym oskarżeniem.

BERNARD SZTAJNERT

*) Konrad Frejdlich „Sędzia". Wydawnictwo Łódzkie 1963

SPROSTOWANIE

W numerze „Odgłosów" z dn. 2. VI. w wywiadzie z Wiktorią Keler nazwisko rozmówczyni zostało zniekształcone za co przepraszamy.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Poznaliśmy już przeżycia Justyna, jednego z głównych bohaterów powieści. Lecz Justyn posiada przyjaciela, którego nazywają Socjalistą, ponieważ kiedyś przeczytał dwie strony z Marksa. Socjalista także opuścił miasto rodzinne lękając się aresztowania. Justyn trafił do opustoszałego dworu, on zaś rozpoczyna właśnie karierę jako nauczyciel tajnego gimnazjum. Uczy młodzież chłopską. Czy zdoła zyskać jej zaufanie? Czy los pozwoli mu spokojnie pracować? Moglibyśmy tego rodzaju pytania mnożyć w nieskończoność — nasz drugi bohater może zginąć lub zostać kaleką, może dotrwa szczęśliwie końca wojny, a może nie. Nie o to nam jednak chodzi. Jak się zachowywało pokolenie Socjalisty podczas okupacji jak rozumiało swoją rolę, co w końcu przeżyło w sensie najistotniejszym dla każdego człowieka — na te pytania, być może, znajdziecie odpowiedź.

Major Skrzetuski zainstalował swój sztab w budynku żandarmerii hitlerowskiej. Żołnierz, który walczy — to ptak przelotny, nie myśli o zakładaniu gniazda. Zajmuje na dzień, albo dwa, jakiś dom, śmieci nie sprząta, wrzuca godła i fetysze nieprzyjaciela do kosza i wiesza swoje. Hitler z domalowanymi wąsami poszedł na śmietnik, ktoś przyniósł białego orła, który zastąpił czarnego kruka, trzymającego w szponach swastykę. Zwycięski sztab grzebie z reguły w papierach wroga, jeżeli tylko wpadną w jego ręce.

Nawet gdyby nie udało się zgnieść Niemców w pałacu, atak na Ostachów przyniósł partyzantom poważny sukces. W bliższej i dalszej okolicy nie zdarzyło się jeszcze, aby któryś z oddziałów zdobył większą osadę, czy miasteczko. Pałac stał trochę na uboczu i można go było nie liczyć. Znakomita demonstracja siły. Ale nie tylko. Sukces akcji na Ostachów tkwił także i w papierkach. Zostawili ich żandarmi niemało.

Porucznik Wichura rozkładał przed członkami sztabu zdobyte dokumenty i referował:

— Tu są takie rzeczy: lista podejrzanych w powiecie, mam przyjemność figurować w spisie, a pan, poruczniku Wołga, jest nazwany czołowym oberbandytą.

Wszyscy wiedzieli dobrze, że listę podejrzanych, mówiąc ściśle — skazanych na śmierć, sporządzał Ryży Julek, przed wojną skromny urzędnik banku. Kilka sprytnych denuncjacji spowodowało tak istotne zmiany w składzie chemicznym jego krwi, że można go było bez trudu zakwalifikować do rasy panów, na początek w randze plutonowego Schutzpolizei. Ryży Julek okazał się wyjątkowo dobrym nabytkiem. Przede wszystkim nie wymagał kosztownego, bądź co bądź, szkolenia. Bił od razu w najczulsze miejsca, strzelał z prawdziwą przyjemnością do celów ruchomych, a zwłaszcza wzywających pana boga przed śmiercią. Znał też doskonale stan majątkowy obywateli powiatu, trafiał w każdą dziurę, gdzie próbowała przeczekać wojnę nie kolczykowana świnia lub krowa.

— Dalej jest zaszyfrowana korespondencja hauptmana Schutzpolizei, zdaje się, ze Żbikiem Wielkim.

— Coś dla mnie — mruknął Wołga.

— Mamy też plan obrabowania powiatu ze zboża, bydła i koni... A ten szpargał? Pojęcia nie mam co ten szpargał tu robi, nie było go przecież — zdziwiony porucznik podniósł do oczu kartkę.

— Czytać, czytać — dopominał się Wołga, który podejrzewał, że akowcy chcą ukryć jakąś ważną tajemnicę.

Wichura miął kartkę w dłoniach.

— Kiedy to bzdura, panowie, jeden z moich podchorążych napisał... kawalarz, trzeba mu będzie karne ćwiczenia...

— Walcie tego kawalarza — zaciekawił się major.

Dowódcy zapalili papierosy. Ogólna sytuacja wyglądała pomyślnie, można sobie pożartować Niemcy zostali absolutnie zakorkowani w pałacu, mysz się stamtąd nie wyśliźnie, a cóż dopiero człowiek, który mógłby sprowadzić odsiecz. Ogrodnik powiadomił dowództwo, że gdyby odkopać tunel łączący jego domek z pałacową oficyną, partyzanci mogliby bez trudu znaleźć się wewnątrz dziedzińca. Pluton saperski już kopie, oddziały nękają wroga ze wszystkich stron, broni i amunicji starczy, najpóźniej jutro pokaże Ryży Julek swoją czarną duszę opatrzności.

Wichura westchnął.

— To jest strasznie głupie.

— Już, już, czytaj!

— Do majora Armii Krajowej pana Skrzetuskiego w miejscu walki. Podanie podchorążego Marka o zwolnienie z wojska.

Rozległ się śmiech, Wichura czytał dalej.

— Zważywszy na fakt, że odnosimy same zwycięstwa, zdobywamy miasta fortelami Zagłoby, ośmielam się prosić o zwolnienie do cywila. Jako żołnierz do niczego się nie przydaję, jako cywil mógłbym znaleźć głębszy cel w życiu. Sprawa celu życia, nie przewidziana w regulaminie musztry, jest ważna, ale nie taka pilna. Mogę trochę poczekać, jeżeli dowództwo uzna, że jestem do czegoś potrzebny.

Oficerowie jakby spoważnieli trochę, nikt już się nie śmiał.

— Na zakończenie napisał tak: „Mam nadzieję, że nasze wojsko będzie umiało opić zwycięstwo. Proponuję trzy hausty w kratkę, kupą i w syngieltona, pojedynczy żołnierz także jest człowiekiem, choć wiele pozorów temu niby przeczy. Należy zarządzić specjalnym rozkazem bis repetita, wszak, jak pan major doskonale wie, powtórzyć nie wadzi, prędzej rozłupi, kto dwa kliny wsadzi. Proponuję swoje sługi jako rex bibendi. Umiem pić a'la generał pif-paf, to się robi tak..." panowie, ja już nie mogę tego czytać.

— To jest satyra na nas, ludzie naprawdę za dużo piją. Co to za podchorąży? — spytał Sosna.

— Taki jasny drąg, on i jeszcze dwóch mieli konflikt ze Żbikiem Wielkim. Porządkował papierki, bo ma maturę i trochę Politechniki, musiał wtedy wsunąć ten kawałek. Już ja mu znajdę głębszy cel, woda mu się zagotuje w tyłku.

Wołga niejeden raz myślał o człowieku, który go ostrzegł przed niebezpieczeństwem. Dlaczego to zrobił? Boi się pewnie komunistów jak ognia, a ostrzegł. Kiedy Dąb wrócił niespodziewanie długo dyskutowali o człowieku, ale przykładem był ten dziwny podchorąży. Ku-

Tłumaczyłem wiersze współczesnych poetów japońskich, posługując się przekładami angielskimi. Taki proceder nie jest na pewno zbyt chwalebny i drugi tłumacz ma zazwyczaj poczucie, że popełnia coś w rodzaju kieszonkowej kradzieży. Przykre, tym bardziej, że trzeba się przyznać. Mam więc to poczucie, ale wiem, że nie ma rady: japoński, jak słyszę, jest naprawdę bardzo trudnym językiem. Przekłady angielskie wyszły spod pióra Japończyka, Hisakazu Kaneko, są więc, jak można się domniemywać, wiarygodne. Nie o to zresztą chodzi, bo dochowanie wierności tekstowi który się tłumaczy, nie jest z pewnością sprawą najistotniejszą, szczególnie w wypadku, gdy tekst ten napisany został przez poetę innego kręgu kulturowego. Wyrwanie się z kręgu kulturowego, w który jesteśmy wpisani, jest zapewne niemożliwe i poeta Morza Śródziemnego, tłumaczący wiersze chińskie czy japońskie, powinien zdawać sobie z tego sprawę. Czegóż więc szuka w tych wierszach? Jeśli nie jest zbieraczem ciekawostek, kolekcjonerem obrazów osobliwych i niezrozumiałych, szuka zapewne tego, co go potwierdza, a więc elementu wspólnego dla różnych kultur. Dla przykładu: przełożyłem wiersz „Miasto na tle gór", bo obraz pociągu, po którego szynach spływa przywieziony z daleka deszcz potwierdza i jest potwierdzany przez moje doświadczenie poetyckie. To, co dzieli kultury, jest zapewne dla tłumaczącego nieuchwytne, nawet jeśli pozna on język i tradycję, w której opisywane są teksty. Tłumacząc, próbowałem więc uchwycić ów element wspólny. Wiedzieć, że element taki istnieje i starać się zrozumieć, dlaczego istnieje; i to warte jest chyba trudu.

JAROSŁAW-MAREK RYMKIEWICZ

DAIGAKU HORIGUCHI (UR. 1892)

Pejzaż morski

Na tabliczce nieba
szara mewa pisze a b c.

Szare są trawy morza;
białe piany są trzodami owiec.

Spacery okrętu,
palącego fajkę.

Spacery okrętu,
gwiżdżącego w dali.

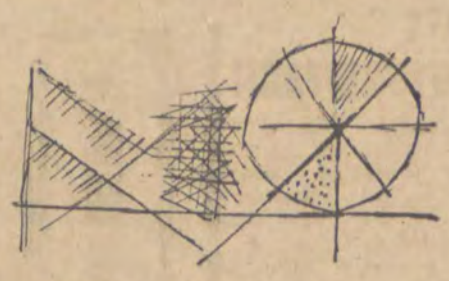

FUYUJI TANAKA (UR. 1884)

Miasto na tle gór

Sprzedają wino z morwy, miód,
śnięte kwiaty i tak dalej, na tym dworcu,
a nadchodzi pora,
gdy sprzedawać będą blade lody,
zimne lody o zapachu cytryn.
Deszcz pada punktualnie,
co noc nadbiega sponad gór.
Gdy tylko mrok otoczy lampy
w parku na zboczu,
deszcz uderza w afisze na płocie
i lekką mgłą
opływa światła miasta.
Hałaśliwa ulica od dworca ku miastu
i wiele innych hałaśliwych ulic,
a pomiędzy sklepami jubilerów i ogrodników,
sklepami, gdzie sprzedają towary łokciowe i sklepami,
gdzie sprzedają korzenie,
są stare sklepy
gdzie sprzedają ziarno i miseczki z soją,
a w mrocznym zaułku
ktoś sprzedaje malowane latarnie
i ciemność jest czerwona i błękitna.
Tam, gdzie ulicę akacji
oświetlają gazowe lampy,
zobaczysz zegar na wieży żeńskiej szkoły.
Tą ulicą ktoś zaraz będzie szedł,
ktoś, kto gra na ustnej harmonijce.
Może spotkam gdzieś kogoś, kogo kocham.
Gdzieś w tym miasteczku — a najpewniej
w dzielnicy willowej, tam
gdzie jest tyle moreli i chińska pigwa
i rzeka i dzikie czereśnie nad rzeką —
jest, jak myślę, ktoś kogo kocham.
I teraz, myślę, gdy zapada noc,
ona czeka samotna,
oparta o skruszony mur,
może na brata, który płynie w górę rzeki?
Nocny express z gór
wjechał właśnie na dworzec,
z błyszczących okien spływa
deszcz przywieziony z daleka.

FUYUJI TANAKA (UR. 1884)

Jesień w miasteczku

W czas jesiennego chłodu nad zboczami gór
piękna jest nocna mapa gwiaździstego nieba.
Stań ponad poletkami,
stań w zaroślach i u źródła:
wszędzie tylko błękitne gwiazdy.
W wielkim i pustym domu
cień lampy upada na drzwi
i w głębi sadu, na gałęziach owocowych drzew,
zasypiają małe pisklęta
i nad drzewem zbierają się gwiazdy.

Będę miał grypę po kąpieli w ciepłym źródle.

Liście opadną lada dzień,
ach, te biedne pisklęta na pewno drżą z chłodu.
Dziecko krzyczy przez sen
i w lesie, za mrocznymi parowami,
krzyczy inne dziecko.

SHINKICHI TAKAHASHI (UR. 1901)

Siewki

Stado siewek leci ponad morzem,
nisko, skrzydłami dotykając fal,
lecą
w ścisłym ordynku.
Jak gnany wiatrem pył
siewki wirują i tańczą.
Ciała czarne i białe
piękniejsze są niż skrzydło samolotu.
Spójrz na dzioby tych siewek,
gdy kroczą lekko po plaży,
dumnie obnoszą te sterczące, długie dzioby.
A czy siewki śpią na falach w nocy?
A gdy lecą, czy lecą za czymś,
czy lecą, przestraszone i czym
to, czego się przestraszyły?
Pies biegnie przez wilgotną plażę
i siewki ulatują jak kłąb dymu.
Czy wykluły się w chmurach?
Niebawem, sądzę, pochłonie je morze.
A krzyk ich niesłyszalny, zatopiony w krzyku fal.
Rzeka wieczoru, gdy wpada do morza.
I siewki lecą wskroś przez rzekę.
Nad pełnym morzem wschodzi księżyc,
o tarczę będą z trzaskiem kruszyły się fale.

Tłumaczył:
JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

TARO YAMAMOTO (UR. 1925)

U fryzjera

„Panie, bądź łaskaw nie ruszać się chwilę
i pozwól, abym cię ogolił".
To godzina dwunasta u fryzjera.
Twarze przechodniów odbite w lustrze.
„Panie, tak a pogodę
mamy piękną, czyż nie tak, panie?"
Chłopcy biegną na wiosenny targ.
Twarz w lustrze, na wpół ogolona,
jestem zmęczony i stary.
Dziewczęta przechodzą, śmiejąc się za mymi plecami.
Lustro odbija błękitne niebiosa.
A tam wzlatują race!
Słyszę śpiew przechodniów!
I wrzący targ za mymi plecami!
Sam
siedzę jak blady duch przed lustrem.

Gdy trwa życie, ten targ,
mógłbyś choć raz się uśmiechnąć.

---

lawy wyjaśniał jak mógł, że człowiek ma w sobie dwie strony: obiektywną i subiektywną. Obiektywnie rzecz biorąc ten podchorąży należał do innego świata, wrogiego świata tych, którzy dużo posiadali. Ale subiektywnie mógł nie być wrogiem. Może nie znosi świństwa? Są tacy posiadacze. A może zaczyna rozumieć, że trzeba zmienić świat? Przecież, dajmy na to — taki Dzierżyński też musiał na początku, znaczy w dzieciństwie, ulegać atmosferze dworu, a później dojrzał ideowo. Porównanie trochę głupie, gdzie Studnickiemu do Dzierżyńskiego, ale coś w tym jest. Przecież politykę prawicy określił podobno znakomicie w kilku zdaniach, znaczy, że rozumie. A teraz? Niby głupi list, a na dnie cholerna satyra. Wszyscy za dużo piją, a strzelanie nie jest jeszcze głębszym celem.

Zameldował się podoficer służbowy sztabu. Jakiś kolejarz przyniósł ważne wiadomości. Drobny, niepozorny człowiek w zniszczonym uniformie, przystanął nieśmiało w drzwiach.

— I cóż nam dobrego powiecie, panie święty? — spytał Skrzetuski.

Kolejarz złożył ręce jak do modlitwy.

— Panowie, źle jest! Szykuje się pomoc w Sędzicach, szkopy z Ostachowa nadali telegram!

— Duża pomoc?

— Będzie, po naszemu, kompania, cztery ciężarówki i pancerka jest.

— Kiedy ruszą?

— Już mieli, ale nie mogą ruszyć, bo ludzie zablokowali, piasku nasypali w motory. Teraz odkurzają. Wcześniej niż pod wieczór nie będą.

— Co za wojsko? Żandarmeria, czy eses?

— Zwykłe wojsko.

Kolejarz wyszedł, oficerowie milczeli. Major usiadł za stołem.

— Musimy się spieszyć, panowie. Proszę sobie zabrać odpisy zdobytych dokumentów, są przygotowane. Rozdział broni zdobycznej już zrobiliśmy. Miło mi było współpracować z wami, dziękuję za zaufanie. A teraz musimy z konieczności rozwiązać zgrupowanie, trzeba odstąpić, panowie, nie damy rady, da bóg, zejdziemy się znowu w stosowniejszym momencie. A teraz słucham panów.

Pierwszy zabrał głos Wołga.

— Proponuję walczyć dalej. Faszyści są złamani, to fakt. Mają może trochę broni i amunicji, ale nie wzięli żywności. Wodę odcięliśmy, studnie da się zniszczyć granatnikiem.

Major replikował.

— Nieprzyjaciel podniósł się na duchu. Z tego widać, że ma radiostację polową i wie, kiedy spodziewać się odsieczy. Na wojnie rozstrzyga realny układ sił, poruczniku, my tu nie mamy szans. Piechota frontowa jest groźna, panie święty.

Wołga nie ustępował.

— Jeżeli faszyści zostawili nam dużo broni, to znaczy, że sami mają mało. Zdobyliśmy cztery cekaemy, trzynaście automatów i granatnik. To są fakty. Moim zdaniem — kopmy szybciej i markujmy ataki ze wszystkich stron, wyprztykają się szybko. Odsiecz można zaskoczyć z zasadzki, oni nie wiedzą, że my wiemy. Jest tylko jedna szosa do Sędzic.

Sosna poparł Wołgę.

— Sytuacja jest taka: mamy ponad dwustu ludzi dobrze uzbrojonych. Mogę dać moje dwa plutony szkolne, są dobrego ducha, zdobyły rynek. Pan major dołoży swoich ludzi, da dobrego dowódcę i rozpieprzymy tę odsiecz. Utrzymanie miasteczka przez dwa dni będzie wielkim sukcesem. Niemcy muszą wiedzieć, że wychodzimy stąd z własnej woli, kiedy zechcemy. To się rozejdzie i wzmocni opór.

Wichura przygryzł wargi. Rośnie ten Sosna, jak na drożdżach. Jeszcze kilka miesięcy temu w ogóle się nie liczył, a teraz podskakuje, jakby armią dowodził. Co gorsza, trzyma wyraźnie z tym ponurym żłobem Wołgą.

Major wahał się jeszcze, ale widać było, że ustąpi. Przez okres międzywojenny nudził się w małym, kresowym miasteczku. Połowę wojska poupychano po dziurach. Dowodził najpierw kompanią, zastępował później dowódcę batalionu, wreszcie dowodził batalionem. Jak każdy kawaler pił co sobota w kasynie i wygłaszał długie kazania do ordynansów, którzy zmieniali się wraz z każdym poborem. Jako żołnierz wygrywał na manewrach maleńkie, papierowe bitwy z niższymi oficerami, albo równymi rangą, od pułkowników i generałów doznawał samych klęsk, podobnie zresztą wszyscy dowódcy batalionów w armii. A tu, też zapadła dziura, tylko, że on dowodzi prawie całym związkiem taktycznym, oczywiście, nie można tego traktować dosłownie, związkiem jak na możliwości wojska partyzanckiego. Na ewidencji piętnaście cekaemów, razem z granatnikiem mogą udawać artylerię. Niemieckich automatów będzie chyba ze trzydzieści, drugie tyle stenów, są też pepesze, kilka lekkich kaemów, granaty, saperzy, pluton łączności, co prawda bez telefonów i pluton samochodowy bez samochodów. Przede wszystkim jednak istniał i bronił się prawdziwy wróg, który nie powie po bitwie, w kasynie przy wódce: wy, majorze, nie bądźcie lepszy strateg od pana pułkownika, bo to się skończy na takiej dziurze, że was batalion saperów do końca życia stamtąd nie wykopie. Okrążenie, podkop, współdziałanie na dużą odległość, ma być przecież i zasadzka, drugi raz nieprędko przytrafi się taka bitwa.

— Popróbujemy, panie święty! Zasadzkę zorganizuje porucznik Wichura. Proszę wziąć plutony porucznika Sosny i swoje. Cztery cekaemy, cztery erkaemy i automaty, musicie mieć dużą siłę ognia. Łączność rakietowa. A teraz zastanówmy się jak uderzać bez przerwy, nie ponosząc strat.

* * *

Biała, wyboista szosa skręcała ostro na północ, przejeżdżające samochody zwalniały zawsze w tym miejscu. Nad zakrętem wznosiło się łagodne wzgórze, porośnięte młodymi świerkami, idealne miejsce na zasadzkę. Wichura wydawał rozkazy.

— Robimy napoleoński worck, czyli zalegamy szerokim półkolem. Plutonowi Zakrzewski i Książę Józef na skrzydłach, będziemy dążyć do półokrążenia. Jeżeli nieprzyjaciel ucieknie, to tylko w bagna, musimy go do tego zachęcić. Lewe skrzydło bije się pod dowództwem sierżanta Wąsatego, prawym dowodzi sierżant Bury. Układamy się piętrami. Parter z granatami i automatami, pierwsze piętro z cekaemem i drugie też. Dwa pozostałe cekaemy na skrzydłach. W ten sposób zapewniamy sobie równomierność nasilenia ognia.

— Ładnie sobie wykombinował, prawdziwa gwiazda ostachowskiego powiatu!

Marek zajmował pozycję pod świerkiem na pierwszym piętrze. Obok położył się Justyn, dwa metry dalej Konrad. Celowniczy wykłócał się o dobre miejsce dla cekaemu.

d. c. n.

ODGŁOSY tygodnia

EFEKTY POLITECHNIZACJI

Zaskoczyła nas ta wystawa. Myśleliśmy, że znajdziemy w szkole podstawowej nr 69 sztampową wystawkę tzw. prac ręcznych. Otóż nie!

Wśród prawie 2 000 eksponatów (w wystawie udział brało ponad 1000 uczniów z trzydziestu paru szkół) znaleźliśmy całą masę tak niezwykłych, że z trudnością można było uwierzyć, że są to efekty pracy młodzieży szkolnej. Oto stoisko szkoły nr 69 — widzimy piękną latarnię morską wykonaną przez Janusza Cichockiego i Andrzeja Jodłowskiego, oto wymuskane monitory rzeczne wykonane przez dziesięcioletnich chłopców.

Oczywiście, wśród „wystawców" przeważają właśnie chłopcy. Oni to wykonali większość eksponowanych tu modeli urządzeń technicznych, narzędzi pracy i pomocy naukowych. Ciekawe były również prace z metalu — płaskorzeźby, ażurowe kraty wykonane przez uczniów VI Liceum Ogólnokształcącego.

Jeśli o stronę plastyczną wystawy chodzi, to jakkolwiek nie była ona najmocniejszą stroną zadziwiły nas piękne barwne talerze (autorzy — F. Zgórz i Cz. Remek ze szkoły podstawowej nr 10 im. Wł. Broniewskiego), które z powodzeniem mogą zawisnąć na kiermaszu plastyków obok prac dorosłych twórców.

Oczywiście rzucały się w oczy różnice w poziomie wykonawstwa. Zdecydowanie korzystnie wybijało się stoisko szkoły podstawowej nr 69. No, ale nie wszędzie prac ręcznych uczą tacy fachowcy jak kierownik Redecki i nie każda szkoła ma własne, dobrze wyposażone warsztaty.

Z UKOSA

PAPIEROS przy MAŁEJ CZARNEJ

Mieliśmy gości z Krakowa. Pokazywaliśmy im Łódź, a kiedy wyrazili życzenie napicia się dobrej kawy, zaprowadziliśmy ich do niedawno otwartego przez „Orbis" baru expressowego.

Stanęliśmy przy stoliku nad filiżankami aromatycznej kawy. Goście pochwalili, że rzeczywiście świetna. Zapaliliśmy, bo nigdy tak papieros nie smakuje, jak przy dobrej kawie.

Tylko, że było duszno. Goście zaczęli się rozglądać, czy jest tu jakaś wentylacja. Wiedzieliśmy, że nie ma, bo projektanci o tym zapomnieli. Zresztą w Łodzi należy to już do tradycji. Nawet — rzekomo nowoczesna — instalacja wentylacyjna w „Balatonie" nie działa jak potrzeba. Nie wiedzieliśmy co tu odpowiedzieć. Z kłopotliwej sytuacji wybawiła nas sprzątaczka.

Podeszła do stolika, zabrała nam spod nosa popielniczkę i oznajmiła:

— Tu nie wolno palić!

— Od kiedy? — zapytaliśmy.

— Od tej chwili...

Spojrzałem machinalnie na zegarek. Była 10.30. Data? Zaraz! 7 czerwca... Piątek!

— Jak to?

— No tak — wyjaśniła. — Teraz przyszedł pan dyrektor i kazał mi zabrać popielniczki i powiedzieć gościom, że tu nie będzie wolno palić, bo tu się ciastka też sprzedaje...

Przeniosłem wzrok za ruchem jej głowy. Za bufetem rzeczywiście stał jakiś pan i coś energicznie tłumaczył personelowi.

Podobała mi się pomysłowość, energia i inicjatywa pana dyrektora. Przyszedł, zobaczył, wymyślił, postanowił i natychmiast wykonał! A mówią, że u nas ludzie na kierowniczych stanowiskach lubią uchylać się od samodzielnych decyzji...

Gościom z Krakowa to się trochę mniej podobało. Stwierdzili, że u nich trudno się napić tak dobrej kawy, ale trudno też pomyśleć, by ktoś się odważył tak lekceważąco traktować swoich klientów. Zaraz też zaczęli wspominać, jak to wczoraj przy kolacji w „Malinowej" kelner policzył im o kilkadziesiąt zł za dużo, a dziś rano w „Grand-Cafe" nie było na śniadanie ani bułeczek, ani śmietanki, a na kelnerkę trzeba było długo czekać...

W ogóle zaczęli opowiadać dużo niepochlebnych rzeczy o łódzkim „Orbisie", i w końcu stwierdzili, że wolą jednak swój Kraków, chociaż tam nie ma tak dobrej kawy...

(les)

SYLWETKI AKTORÓW ŁÓDZKICH

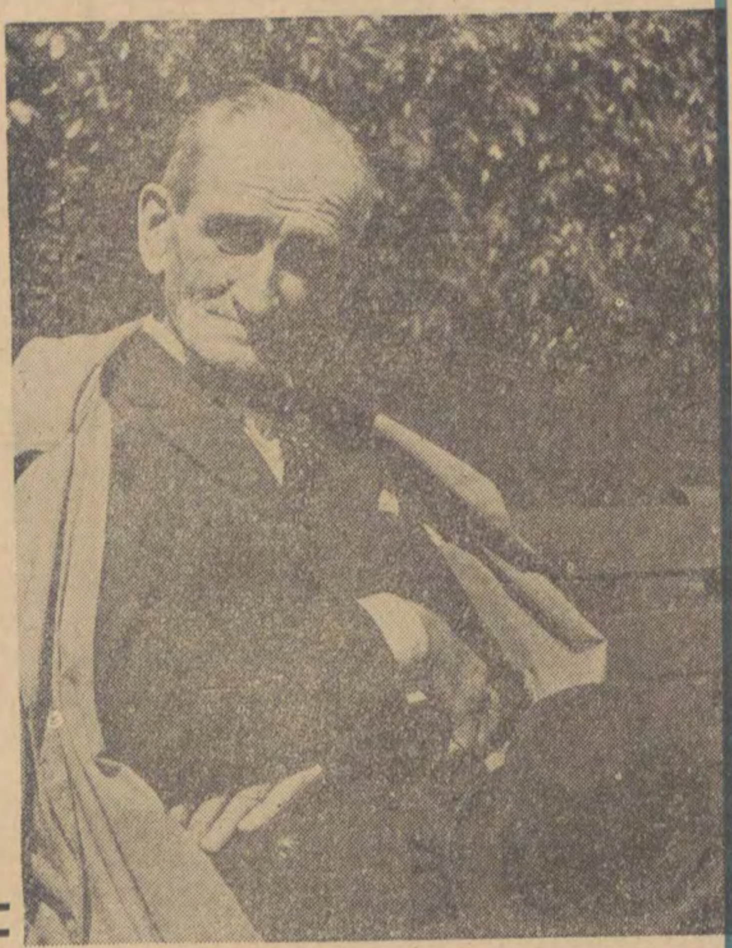

JÓZEF PILARSKI

JÓZEF PILARSKI — starszemu pokoleniu łodzian znany jest przede wszystkim jako dyrektor Teatru Popularnego na Ogrodowej, sceny, która wiele zrobiła dla popularyzacji teatru wśród środowiska robotniczego. Po wyzwoleniu związał się z Teatrem Nowym tworząc w nim szereg świetnych ról, przede wszystkim tytułową postać w „Brygadzie szlifierza Karhana", którą — jak pamiętamy — rozpoczął Teatr Nowy swoją artystyczną działalność.

Ponadto warto wymienić takie jego role jak: Profesor Orliński — w „Maturzystach" Skowrońskiego, Satylmysz — w „Opowieści o Turcji" Nazima Hikmeta, Przewoźnik — w „Moście" Szaniawskiego.

Za całokształt pracy scenicznej został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżami — Kawalerskimi i Komandorskim Odrodzenia Polski.

Józef Pilarski jest również laureatem artystycznej nagrody miasta Łodzi.

Tekst i zdjęcie: GERARD PUCIATO

cyk

bezpłatny dodatek Odgłosów tygodnia

PŁASZCZ NAJWYŻSZEGO KAZIJA

(Bajka Uzbecka)

Powracając późno nocą od chorego, Nasreddin Apandi zobaczył na ulicy leżącego bez przytomności człowieka.

Podszedł, poświecił latarką i widzi: leży w kurzu i błocie najwyższy kazij Buchary, kompletnie pijany.

— O — pomyślał sobie Apandi — za jeden kielich wina ty, panie najwyższy kaziju, karzesz nieszczęśliwego człowieka i skazujesz go na 40 kijów. Ciekawe, ile ty wypiłeś kielichów, jeżeli leżysz tu jak świnia, bez ludzkiej godności.

Kopnięciem nogi przewrócił Apandi nieruchome ciało, zdjął z najwyższego kazija szyty złotem płaszcz i turban i poszedł do domu.

Najwyższy kazij był tak pijany, że dopiero o świcie doszedł do przytomności. Z trudem się podniósł i skradając się jak złodziej podążył do swego domu.

Dopiero w domu rozejrzał się i zauważył, że jest rozebrany, a jego drogi, złotem szyty płaszcz i turban z indyjskiego muślinu — znikły.

Oburzony tym, że jakiś złodziej ośmielił się ograbić jego, samego najwyższego kazija, postanowił — niechby nie wiem ile kosztowało to trudów — znaleźć przestępcę i wymierzyć mu srogą karę.

Wezwał strażników i rozkazał im:

— Idźcie i szukajcie po miejskich rynkach. I tego człowieka w którego rękach znajdzie się mój płaszcz i turban natychmiast schwytajcie i przyprowadźcie go tutaj do mnie.

Strażnicy nisko się pokłonili i poszli wypełnić rozkaz.

Najwyższy kazij wezwał oprawcę i zaczął oczekiwać już naprzód ciesząc się zemstą.

Strażnicy rozbiegli się po rynkach Buchary, obszukali, jak psy milicyjne, każdy zaułek i wkrótce znaleźli Apandi z płaszczem i turbanem najwyższego kazija. Po czym związawszy jego ręce zaprowadzili go do pałacu przed oblicze najwyższego sędziego.

— Oto złodziej — powiedzieli.

— Skąd masz mój płaszcz i turban? — groźnie zapytał najwyższy kazij. — Mów prawdę. Widzisz, oprawca stoi obok mnie po prawej stronie.

Wówczas, pokornie skłoniwszy głowę, Apandi powiedział:

— Panie, dziś w nocy natknąłem się na nieznajomego, leżącego w błocie na ulicy jak nieboskie stworzenie. Człowiek ten był kompletnie pijany. Wziąłem mu płaszcz i turban. Jeżeli tym pijanym był pan, najwyższy sędzio, jestem panu gotów zwrócić płaszcz i turban.

Przestraszył się i zadrżał najwyższy kazij. Zrozumiał, że będzie skompromitowany w całej Bucharze, jeżeli ludzie dowiedzą się, iż on, najwyższy kazij, jest pijakiem. Więc łaskawie uśmiechnąwszy się, powiedział:

— O, szanowny Apandi, nam, najwyższemu kazijowi, stróżowi porządku prawnego, nie przystoi nawet dotknąć ustami kielicha z winem. Tym pijakiem, oczywiście, nie byłem ja. Płaszcz i turban nie są moje. Możecie odejść w spokoju.

Ale cała Buchara wiedziała, do kogo należał płaszcz i turban. I ludzie wychwalali Apandi, który potrafił w ten sposób ośmieszyć najwyższego kazija.

Przełożył z rosyjskiego: FR. SWARZYCA

TRAMWAJOWA LEKTURA

Przebywając przed kilkoma miesiącami w naszym kraju (również w Łodzi) znany naukowiec i poeta amerykański Peter Viereck powiedział: „Najbardziej zdumiewa mnie w Polsce fakt masowego obcowania z książką. Jest to chyba jedyny kraj, gdzie ludzie nie rozstają się z lekturą nawet w tramwaju". Takie zdanie wygłoszone przez człowieka, który niejeden kraj zwiedził, na pewno bardzo nam pochlebia. Nie roztrząsajmy od razu tak bogatego problemu, jakim jest u nas czytelnictwo. Faktem jest jednak, że łodzianie czytają dużo również w tramwajach. Oczywiście przeważa tutaj zdecydowanie prasa, którą właściwie większość czytelników przegląda w tramwajach i autobusach. Ale nie o prasie chciałbym mówić w tym miejscu, lecz o książkach. Tak, tak, Viereck miał rację, że książki są u nas czytane także w tramwaju. Pytanie jednak — jakie książki? I tu nasuwają się niewesołe refleksje, poczynione zresztą z własnych obserwacji (co prawda niezbyt ładnie wygląda ktoś zaglądający przez ramię czytających, ale czego się nie robi z dziennikarskiej ciekawości). Ogólnie biorąc książka czytana w tramwaju ma wygląd następujący — stare pożółkłe kartki o tłusto-czarnych rogach w mocno nadszarpniętych zębem czasu okładkach. Niestety, gdybym stare książki oglądał tylko w tramwajach byłbym już dawno stracił do nich mój szczery sentyment. Bo z jakąż to literaturą obcuje łodzianin w tramwaju? W lekturze tramwajowej odnajdziemy więc takie „perły" jak „Prokurator Alicja Horn", „Doktor Murek", „Czarci Jar" itp. Z autorów rodzimych przeważają tacy „zasłużeni" naszej literatury jak Marczyński, Dołęga-Mostowicz, Zarzycka, przysłowiowa już Mniszkówna, Romański, Nasielski i inni. Zagranicznych zaś reprezentują Zevaco, Knox, Leblanc, Wallace itp. Zadziwiająca jest długowieczność tych książek, które od kilkudziesięciu lat są w stałym czytaniu. Ale na pewno nie świad czy pozytywnie o naszym wyrobieniu kulturalnym fakt, że „chwasty" literatury są u nas nadal czytane. Trudno wymagać by w tramwajach czytano dzieła filozoficzne czy beletrystykę wymagającą skupionego myślenia, ale czy to ma być powodem do rozczytywania się w szmirze. Wydaje mi się, że problem ten jest szczególnie aktualny w naszym mieście. A swoją drogą mieliśmy szczęście, że Viereck nie znał polskiego.

T. W.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 1982. VI. 63. K-4

ANEGDOTY

do druku podał bb. Chruściewicz

KOTARBIŃSKI

Pewnego wieczora na kilkanaście minut przed podniesieniem kurtyny (grało się w „Rozmaitościach" Królewskiego jedynaka Rydla) — piekło! Kotarbiński nie może znaleźć jednej pończochy. Gwałt, sądny dzień! Niedziela, sklepy pozamykane, kupić nowych pończoch nie można. Szuka pani Lucyna — żona i dobry duch Józefka — szuka krawiec teatralny, szukają koledzy, obszukują całą garderobę jak najszczegółowiej. Pończocha jak kamień w wodę! Wtem widzimy, że pani Lucyna zaczyna obmacywać Józefka i powiada:

— Postaw nogę na krześle. Nie tę gołą. Tamtą drugą...

— E tam... e tam...

Ale stawia i z wielkim oburzeniem woła:

— A to ze mnie idiota!

Okazało się, że włożył dwie pończochy na jedną nogę!

Innym razem znowu, kiedy Kotarbiński grał Uriela Akostę w sztuce Gutzkowa pod tymże tytułem, przyszedł do teatru na dwie godziny przed przedstawieniem i zamknął się w garderobie na klucz, aby móc się spokojnie ubrać i ucharakteryzować. Pani Lucyna odprowadziła męża i poszła sobie do kolegów na pogaduszki i ploteczki. Kiedy zbliżała się godzina ósma, słyszymy gwałtowne łomotanie do drzwi w garderobie Kotarbińskiego. Ktoś, kto pierwszy to usłyszał, podchodzi i pyta, co się stało.

— Dawajcie klucz!

— Przecież pan sam się zamknął.

— Dawajcie klucz!

Łomot się wzmaga. Zbiega się cały teatr, na wpół ubrani i na wpół ucharakteryzowani aktorzy, maszyniści, woźni. Zza drzwi dochodzi już nie krzyk, a ryk: — Kluuuucz!

Na szczęście nadchodzi pani Lucyna. Akurat na: „Otwórzcie, bo drzwi wywalę!"

Pani Lucyna spokojniutko podchodzi i mówi normalnym głosem:

— Józefku, uspokój się. Co się stało?

Ryk:

— Zamknięto mnie, zabrali klucz. Nie mogę wyjść, nie mogę grać.

A pani Lucyna znów spokojniutko, cichutko:

— Czy patrzyłeś za lustrem? Klucz na pewno tam leży.

Chwila ciszy. Po chwili śmiech. Śmiech homeryczny. Kotarbiński staje we drzwiach wesolutki i jak by nigdy nic:

— No popatrz! Zamknąłem drzwi i zapomniałem!

HENRYK MAŁKOWSKI
Moje wspomnienia